



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

**Kazimierz Skaza : powiastka na tle historyczném / napisał
Aleksander Borucki.**

Liczba stron oryginału

92

Liczba plików skanów

92

Liczba plików publikacji

93

Sygnatura/numer zespołu

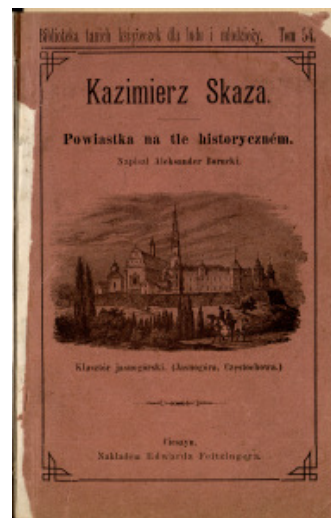
KD I 04674

Data wydania oryginału

[1889]

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



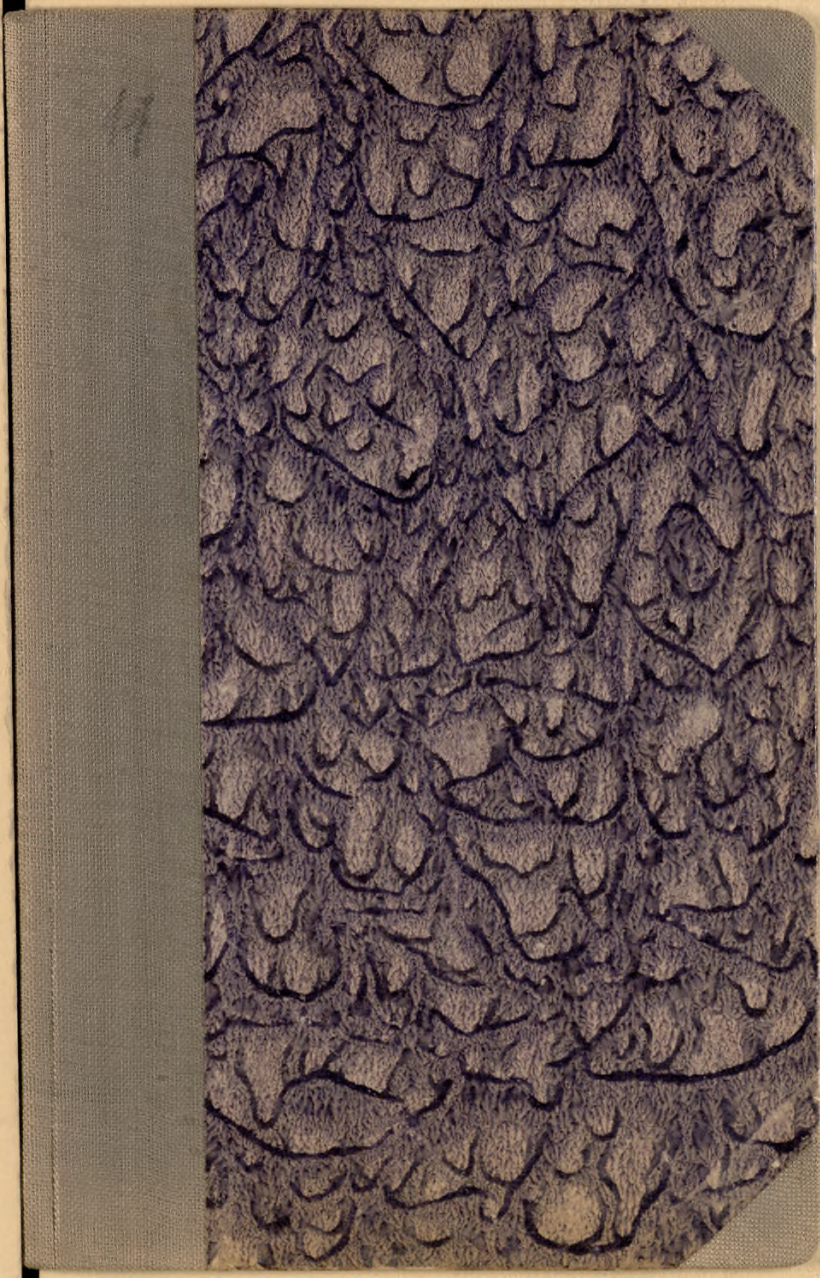
**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny

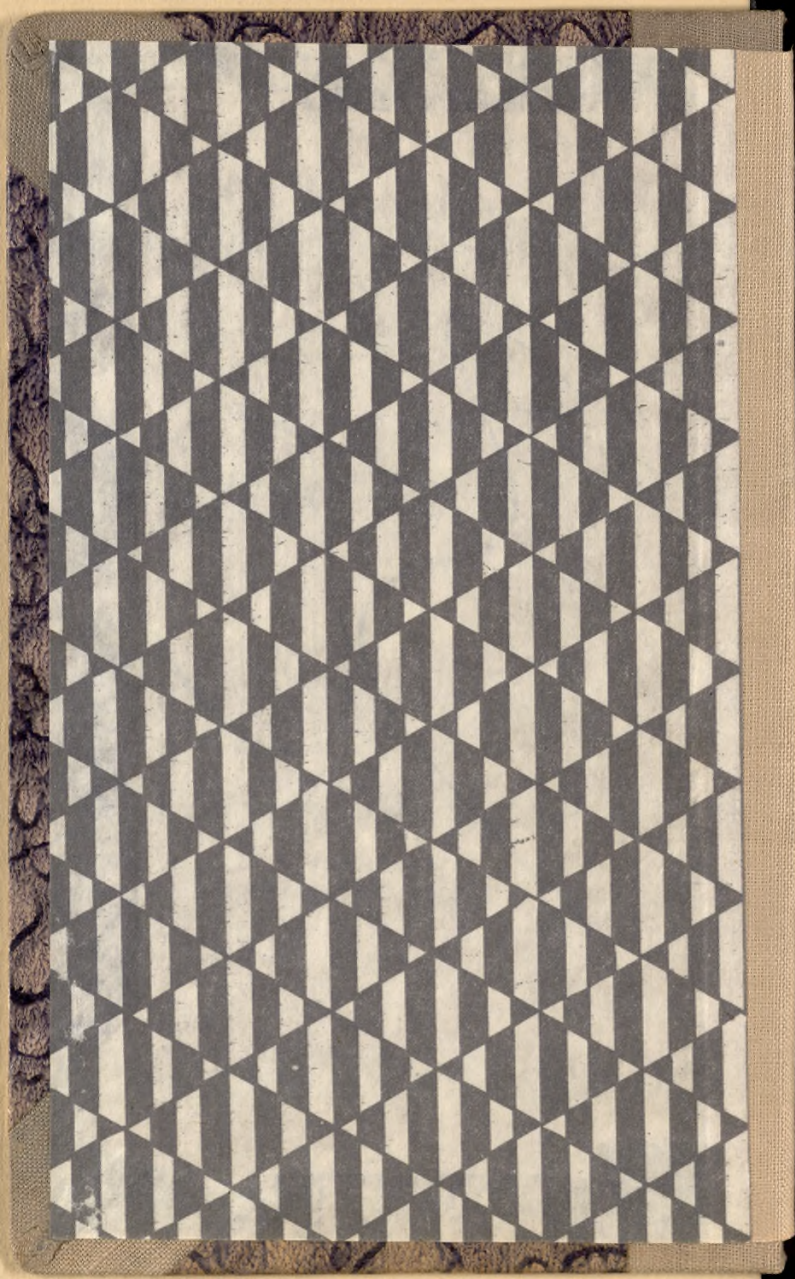


Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego









54

Kazimierz Skaza.

Powiadka na tle historyczném.

Napisał Aleksander Borucki.



Klasztor jasnogórski. (Jasnogóra, Częstochowa.)

Cieszyn.

Nakładem Edwiarða Feitzingera.

Nakład Edwarda Feitzingera w Cieszynie (Śl. aust.)

Pięknie drukowane i ilustracyami ozdobione dziełka p. t.

„Biblioteka tanich książeczek dla ludu i młodzieży.”

Cena każdego zwyczajnego dziełka
tylko 20 ct. czyli 35 fen., większe lub oprawne dziełka
droższe i jest cena przy takich podana.

Tom

1. **Abelino, straszny bandyta.** Powieść z dziejów Wenecyi.
2. **Córka sybirskiego wygnańca.** Powieść z dalekiej przeszłości.
3. **Jadwiga, oblubienica bandyty.** Powieść osnuta na tle dramatu Knera.
4. **Jan Okpiświat (zwany Sowizdrzałem), słynny swego czasu trefniś; jego figle i awantury.** Powieść komyczna ku rozweseleniu czytelników.
5. **Krzysztof Kolumb, czyli odkrycie Ameryki.** Opowiadanie dla ludu.
6. **Losy Genowefy.** Ciekawa i wzruszająca historia dla dojrzałej młodzieży i dla wszystkich, osobliwie nieszczęśliwych i zasmuconych jako źródło pociechy i warty godny naśladowania.
7. **Młynarz i jego dziecko, czyli wędrówka do chów w nocy Bożego Narodzenia.**
8. **Przygody Robinzona Kruzoe na morzu i na lądzie.** Bardzo ciekawa i pouczająca historia dla młodzieży i dorosłych.
9. **Piękna Meluzyna.** Cudowna historia o panu morskim i walecznym jej potomstwie.
10. **Trzy piękne młynareczki w rękach krwawego rabusia.** Zdarzenie prawdziwe z przeszłego stulecia.
11. **Zamurowana dziewczyna.** Powieść osnuta na tle aktów sądowych z bieżącego stulecia.
12. **Życie i czyny Rynalda Rynaldyniego, słynnego dowódcy opryszków.** Romantyczne opowiadanie z przeszłego stulecia.
13. **Straszny niewiastobójca Hugo Schenk i jego wspólnicy.** Dokładna historia ich życia i wszystkich okoliczności, jako też ostatecznego losu i stracenia. (Z obrazkami).
- 14a. **Ofiara intrygi cioci.** Obrazek z życia oficerów listów w Galicyi. — Tom 14b. I. Rabin cudotwórca. II. Praktyczni i niepraktyczni. Obrazek z życia kolonistów.
15. **Kochaj swój obrządek!** Obrazek z życia ludu we wschodniej Galicyi. Napisał Jul. Ant. Łukaszkiewicz. — Krzyżacy i ich następcy. Napisał Francisz. Kozdra.

Kazimierz Skaza.

Powiadka na tle historyczném.

Napisał Aleksander Borucki.



Klasztor jasnogórski (Jasnogóra, Częstochowa.)



Gieszyn.

Nakładem Edwarda Feitzingera.



KD I 4674

KD 4674

JAN BRODA

D 195/16
20.00

Były to czasy zaburzeń i niepokoju... rok 1655. Szwed niszczył naszą ojczyznę, a przemocy jego nikt nie mógł się oprzeć. Zagrożone miasta broniły się za murami twierdz i zamków, włościanie zaś połączeni w oddzielne gromady, walczyli o własne bezpieczeństwo. Każdy śmiało pierś swą nadstawiał, bo kochał ojczyznę. To też nie łatwo było Szwedowi rozlewać się szybko — największymi przeszkodami były zbrojne rotty włościan, które kryjąc się po lasach, krzakach i w trzcinach miejsc błotnistych, utrudniały nieprzyjacielowi pochód, odcinały żywność, nie żałując również toporów i garłaczy.

Lato miało się już ku schyłkowi — czuć było nadchodzącą jesień. Drzewa jakoś za wcześnie poczynęły żółknąć. Słońce dzień dziennie zachodziło krwawiej. Lud wiejski niespokojnie poglądał na niebo i z miotek czerwonych, z komety i innych zjawisk powietrznych, przepowiadał jakieś klęski, zaburzenia i wojny. Nawet stada kruków, wron i kawek nie uszły baczności włościan.

„Będzie wojna i to wielka“ — szeptali sobie na ucho — „to ptactwo nie darmo tak

sobie ostrzy dzioby i tak licznie gromadzi. Będzie wojna, oj będzie!”

Podobnie rozmawiali Bartłomiej Skaza i Wojciech Koruń.

„Najpewniej Szwedowi przykrzy się siedzieć w swych górach i myśli nas odwiedzić!” — mówił Skaza, człowiek może czterdziestoletni, olbrzymiej postawy i siły.

„I ja tak myślę” — odparł Koruń, kropla w kroplę podobny do Skazy — „byłem tydzień temu w zamku u pana z jakimś papiérem od wójta. Co tam było pisane, nie wiem; ale to pewna, że nic pocieszającego, bo kasztelan po przeczytaniu tego papieru zachmurzył czoło i gryzł wargi ze złości. Wczoraj zaś doszła mnie wiadomość, że Smol-szczanie się zbroją, kopią rowy, biją ostrokoły, a Józef mi mówił, że to na Szweda tak się gotują!”

„Oj bieda, bieda z tym Szwedem, ciągle nas nim straszą, ale jak widzę, teraz już naprawdę będzie się trza brać do korda, a chwała Bogu jeszcze nie zardzewiał od ostatnich zamieszek.”

„U mnie też znajdzie się trochę naboju, a dali Pan sprzedam ostatnią krowę, gdyby mi go zabrakło. O bo też będę kropił” — i zaciśniętą pięścią pogroził Koruń z zapalem.

„Mnie tylko żal naszego króla“ — ciągnął dalej Skaza — „nacierpiał się już dosyć biedaczysko; nigdzie nie ma spokoju. To z kozakami, to z Radziejewskim, to z carem Aleksym kłóć się i bij bez ustanku; a do tego i w kraju nie zupełnie cicho. Bodaj już raz skończyło się to wszystko!“

„Gruszki na wierzbie przyjacielu! Kozaki twarde orzechy; raz je zgnieciesz, a jeszcze wyłazą i to w większej liczbie.“

„Nie wyłaziliby, gdyby nie Chmielnicki!“

„To pewno, ale właśnie w tém sęk; Chmielnicki ma pieniądze i pomoc od cara — trudno z nim się uporać!“

„Bo też zhardział od chwili, kiedy został hetmanem. Po co było się nad nim litować! Ja na mojem miejscu, pierwszy bym mu w łeb wypalił. Nie ma nad zdrajcą litości!“

„Ano i ja byłbym nie od tego, ale cóż? Stało się inaczej, trzeba słuchać co dalej będzie.“

W tém wbiegł do izby krępy chłopak, rzucił czapkę na ławę i zadyszany, ledwo zdołał przyjść do siebie. Był to syn Bartłomieja.

„Gdzieś ty biegał?“ — zapytał ojciec półgłównie.

„Ta po wsi tatusiu, ale zła nowina, Szwed ponoś nadciąga, już wszedł na granicę i pędzi jak zawierucha.“

„Panie ratuj!“ — krzyknął zrażony tą wieścią Skaza — „o wilku mowa, a tu wilk na karku. Kto ci o tém mówił chłopcze?“

„Wójt dostał przed chwilą jakiś list wielki z czerwoną pieczęcią, w którym doniósł mu kasztelan o zbliżaniu się Szwedów, a rozkazał gotować się do obrony, gdy Szwed najeździe naszą okolicę.“

„I cóż wójt na to?“

„Ot, zaraz ogłosił wszystkim, a była ich liczba nie mała, bo każdy ciekaw był treści listu i jak ogon wlekli się ludzie za posłańcem — otóż ogłosił wszystkim, aby broń sporządzać i ostrzyć, w koło wsi głębokie fosy pokopać, wały nasypywać i pleciona wzmocnić, bić gęsto ostrokoły, podrzynać w lesie drzewa i kopać doły ukryte, jak się to robi na wilki i... jeszcze tam coś mówił, alem już nie słuchał, ino przybiegł do was. Idźcie do wsi, to się jeszcze więcej dowiecie, a ja tymczasem zobaczę, czy szabli i prochu wam nie trzeba naprawić!“

Skaza i Koruń podnieśli się z ławy i wyszli z izby, biegnąc prosto w stronę zagrody wójtowskiej.

Już wielka liczba ludzi zgromadziła się przed swym zwierzchnikiem, a on im radził i do meztwa zachęcał.

Skaza i Koruń przedarli się przez tłum wieśniaków, chcąc bliżej lepiej dosłyszeć, ale skoro ich tylko wójt zoczył, z uśmiechem przywitał słowami: „Szwed pędzi na nas!“

„Wiemy“ — odrzekł Koruń — „i dla tego właśnie tu przyszliśmy!“

„Czegóż żądacie?“

„Rady!“ — odparł Koruń.

„Bić w imię Boga, a nie żałować ręki, oto moja rada“ — rzekł wójt głosem podniesionym.

„Bić, bić!“ — powtórzyła gromada.

„A kto nam będzie przewodził?“ — zapytał Skaza.

Tu żywa nastąpiła rozmowa. Każdy chciał dowodzić. Dopiero wójt uciszył gromadę i ozwał się uroczyście:

„Nie łatwy to wybór przyjaciele, kogo postawić na czele, komu oddać się w opiekę, komu zawierzyć. Mamy wielu odważnych i dzielnych, wielu doświadczonych i bitnych. Komuż tu przyznać pierwszeństwo? Aby więc żadnego nie zrazić, obmyślimy próby, a mianowicie: kto w locie zabije jaskółkę, kto jednem cięciem toporu zetnie tę gałąź u dębu, kto dziesięciu ludzi jednym zamachem powali na ziemię — temu oddamy dowództwo!“

Na te słowa Koruń porwał siekierę i jednym zamachem ściał całego dęba, kamie-

niem ubił latającą jaskółkę i dziesięciu mężów zwyciężył, nie zmęczwszy się nawet.

„Koruń! niech żyje Koruń!“ — zawołała gromada — „przewódź nam, przewódź!“

Wtedy Koruń stanął na pniu świeżo ściętego dębu i grzmiącym głosem ozwał się do gromady:

„Chcecie, bym wam przewodził, bom wygrał zakłady; ale przebaczcie bracia — nie przyjmuję dowództwa. Nie sama siła w bitwie potrzebna, ale mądrość i doświadczenie. Skaza dzielny będzie wam wodzem, jego obierzcie. On mnie kilka razy wyrwał z rąk śmierci, w każdej chwili wspierał braterską a mądrą radą, pozwólcie więc, że przez wdzięczność jemu odstępuję dowództwo!“

„Skaza i Koruń! wy oba na czele!“ — jednogłośnie krzyknęli włościanie — „takich nam trzeba. Niech żyją przywódcy!“

Skaza ze wzruszeniem dziękował, a potem zaraz wziął się do dzieła. Podzielił zdatnych do boju na dwa oddziały. Jeden oddział miał sam prowadzić, drugi oddał Koruniowi.

Główną broń stanowić miały topory, proce, maczugi i oszczepy. Kto mógł się lepiej uzbroić, nie przeszkadzano mu bynajmniej. Połowa miała być konnych, połowa pieszych. Ogółem obliczono trzysta mężów pełnych odwagi, mężstwa i poświęcenia.

Kiedy uporządkowano zbrojny ten zastęp, przystąpiono do zabezpieczenia się wałami, fosą i t. p.

Robota szła szybko, bo pracowały tu ręce nie najemnika płatnego, ale syna matki ojczyzny, zagrożonej od nieprzyjaciela.

Wieczorem ściągnęli wszyscy do rozbitych namiotów, rozpalili ogień i postawili strażę, aby być w pełnej sile. Z okolic nadciągnęły jeszcze niektóre pułki, powiększając zastęp wybrańców do liczby 500.

II.

Szwedzi pod dowództwem Karola Gustawa szybkim krokiem posuwali się naprzód, pałac dokoła włości i wycinając w pień mieszkańców.

W Polsce panował wówczas Jan Kazimierz, król elekcyjny, który tytułował się także królem szwedzkim. Ubodło to dumnego króla Karola i postanowił osłabić króla polskiego; zresztą spodziewał się w Polsce znaleźć łupy bogate. Najgłówniejszą atoli przyczyną najścia Szwedów na Polskę, był zdrajca Radziejewski, podkanclerz koronny Jana Kazimierza, który poróżniwszy się z królem, umknął do Szwecyi i tam podburzał Gustawa, przedstawiając mu świetne owoce z wyprawy. Gustaw, który od dawna łakomy

był na bogactwa Polski, nie dał sobie dwa razy namowy powtarzać i wkroczył do Polski, przeszkadzając Polakom pobić Moskali na Ukrainie, zemścić się za klęskę pod Szklowem.

Szlachta wielkopolska na wieść o zbliżaniu się Karola Gustawa, tworzyła zbrojne hufce i pod Ujściem oczekiwała nieprzyjaciela. Po górach stawiano widety i palono beczki smolne dla sygnału. Wreszcie zbliżył się król Gustaw i rozłożył w dolinie wielki swój obóz. Śmiechy i śpiewy żołdactwa szwedzkiego przeciągały się w późną noc, a załoga ujścieńska zanosila do Boga modły, z bijącym sercem błagając o zwycięstwo. Kasztelan zamku rozesłał szpiegi na wszystkie strony w celu dowiedzenia się o liczbie nieprzyjaciela, ale otrzymał niepocieszną odpowiedź. Nieprzyjaciel kilkakrotnie był silniejszy.

Zaświtał ranek. Szwedzi już na nogach, ruch w obozie — widocznie gotują się do bitwy, a tu i zamek ujścieński słaby i szlachty mało. Rada w radę, co robić: czy bronić się, czy poddać, czy zawrzeć układy, czy ratować się ucieczką. Wreszcie postanowiono poddać się bez bitwy, jasnym bowiem było, że daremnym byłby tylko rozlew krwi tych kilku tysięcy szlachty, w obec krociowej armii Karola Gustawa. Poddano się.

Szwedzi zajęli całą miejscowość i przez kilka dni wyprawiali bankiety i rabunki, wzniecali bezwstyd i rozpustę. Wreszcie obładowani złotem, srebrem i innymi skarbami, zabrawszy tabuny koni i bydła, ruszyli dalej przy blasku łuny pożarnej i jęku mordowanych.

Jan Kazimierz bawił wówczas w Warszawie i znękany częstym niepokojem, tknięty boleścią z powodu zdrady Radziejewskiego, oczekiwał z trwogą każdej wieści o zwycięstwach lub klęskach nieprzyjaciela. Rachował na meztwo i przywiązanie do tronu polskiego szlachty wielkopolskiej, ale ta z obojętnością prawie przepuszczała przez swe zagony niszczące kolumny szwedzkie, pozwalając wchodzić im w głąb kraju.

Jan Kazimierz nie widząc ratunku co prędzej opuścił Warszawę i cofnął się na Szląsk do Opola. Karol Gustaw ścigał go nieustannie; 8-go Września zajął Warszawę i zbliżał się ku Krakowu.

Strach i popłoch powstał na tę straszną nowinę. Z zapartym tchem śledziono horycont, badano znaki na niebie; psy jakoś złowieszczą wyły, a nawet zapach duszący dymu palących się włości czuć było w powietrzu. W kościołach modlono się do Stwórcy i Maryi Dziewicy, w lasach i górach czatowały gromadki

zbrojnych włościan, starając się w biegu powstrzymać rozhukany żywioł. Bardziej lękliwi uciekali na oślep z zagrożonego kraju, lub kryli się w zimnych jaskiniach, parowach i opuszczonych miejscach.

Szwed pędził z niewypowiedzianą szybkością, co po zbliżających się coraz więcej łunach i coraz bardziej duszącém powietrzu poznać można było. Gromady czarnego ptactwa przeraźliwie i ponuro kraczące i piszczące, z szumem przerzynały szlaki powietrzne, a lud z trwogą i drżeniem wyglądał zjawienia się Szweda. Tylko oddział męznego Skazy i Korunia, z maczugą, toporem i oszczepem w rękę, z otwartą piersią, z naśladowania godnym spokojem oczekiwał wroga niecierpliwie, by jak najprędzej zetrzeć się z nim i... zwyciężyć.

W czwartym dniu oczekiwania pojawiły się wreszcie szwedzkie szeregi, uzbrojone od stóp do głowy na dzielnych rumakach. Aż ziemia zadrżała pod kopytami końskimi.

Skaza i Koruń rozwinęli swą gromadkę w długą linię, ukrytą po za krzakami i cierniem. Przed nimi był rów głęboki, za rowem ściana z ostrokołu, za nią całe pagórki głazów ostrych i kamieni. Tak zabezpieczeni z pewnością siebie oczekiwali ataku.

Szwed jak zwykle, wysłał przed sobą kilku gońców czyli kuryerów, którzy w razie

niebezpieczeństwa mieli obowiązek ostrzedz ciągnące za nimi wojsko. Gońcy pędząc kłusem z dobytymi w rękę pałaszami, uważnie rozglądali się dokoła.

Skaza i Koruń nie dawali najmniejszego znaku życia; strażę zostały zwiedzione i ukryte w gąszczach, ognie pogaszone do rdzenia i zalane wodą, bydło uprowadzone daleko, by rykiem nie zdradzało obecności wojowników. Każdy oddech tamował, a ścisnął broń z wściekłością.

Szpiegi szwedzkie przebiegły też zasadzkę, nie domyślając się niczego: za nimi o kilkaset kroków pędziła armia w pojedynczych rozluźnionych oddziałach. Świetna zbroja błyszczała jak złoto w oddali; zwisłe pióra na hełmach poruszały się jak białe obłoczki.

Kiedy już o sto kroków ledwie oddaleni byli Szwedzi od gromady Skazy i Korunia, zerwali się nagle przywódcy i z okrzykiem: „Hurra dzieci, w Imię Boże!“ — rzucili się na przekraczającego zapory Szweda.

Tak nagły i niespodziany napad przeraził nieprzyjaciela, nie długo myśląc podał tył, uciekając sromotnie. Niektóre oddziały rozpierzchły się na wszystkie strony, jak pierze, kiedy je dotknie podmuch silnego wiatru. Sami nawet generałowie i porucznicy zmykali, aż się za nimi kurzyło. Szpiegi przepłacili

życiem, porąbano ich w drobne kawałki; resztę, która ze strachu straciła głowę i błąkała się bezmyślnie, związano powrozami i zakuto w dyby. Dostał się nawet jakiś dostojnik o stalowej zbroi, złotym łańcuchu i z sutym pękiem piór strusich na ciężkim hełmie. Chłop był jak dąb, a przecież języka w gębie zapomniał i spokojnie pozwolił się wiązać. Szwedzi byli zupełnie w tém przekonaniu, że trafili na wielką armię, a tu tymczasem garstka źle uzbrojonych wieśniaków taki popłoch sprawiła.

Koruń i Skaza padli na twarz i w łzach podziękowali Bogu za zwycięstwo. Chłopi chórem zanucili pieśń do Maryi Dziewicy. Szwedów ogromna złość brała. Skoro spostrzegli swą pomyłkę, nie mogli powstrzymać się od dzikich klątw i złorzeczeń. Chłopstwo śmiało się z tego.

„A co wojownicy, nie smaczna zupa, he? Chciało się wam pirogów; oho zjecie wy djabła nie pirogi. Psiawiary, my tu was nauczymy najeżdzać; na gałęź, na gałęź!“

„Pokrajać ich w sztuki i posłać generałom na wieczerzę“ — doradził jakiś chłop barczysty z uciętym uchem — „a na co mi bestye ucho odcięły, he? Chcieli, żebym już więcej nie słyszał! He, he, będę ja jeszcze

przysłuchiwał się waszemu piskowi, jak was będą krajać. W sztuki ich, w sztuki!”

„W sztuki, w sztuki!” — zahuczała cała gromada, prawie pijana z pierwszego zwycięstwa.

„Ani mi się tknąć” — krzyknął Koruń, stając nagle w pośrodku — „na bok, rozejść się! Bezbronnemu nie wolno dokuczać. Bóg pomści. Lepiej im jeść dajcie; niech się przekonają, że polski chłop wie, co szlachetność!”

„Słuszność ma Koruń” — mówili wtedy chłopci półszeptem do siebie — „on zawsze, jak co rozporządzi, to ani piśnij — tak mądrze!” I rozeszli się do namiotów, które teraz w jednej chwili rozbito. Ognie buchnęły jaskrawym płomieniem, straże rozstawiono na cztery boki, a jednego wysłano do wsi z radosną nowiną zwycięstwa.

Posłańca przyjęto z okrzykami radości i wnet wieść wesółą, podawana z ust do ust, z serca do serca, przeleciała jak na skrzydłach całą wioskę i dalszą okolicę. Wszyscy sławili dzielnych przywódców, a stary pleban odprawił natychmiast w kościółku modły dziękczynne, na które tak wielka zebrała się ciżba, iż pot strumieniem spływał każdemu po licu z gorąca. Po modlitwach przesłał pleban dowódcom i wojownikom błogosła-

wieństwo i nowe szkaplerze, jako najpiękniejsze order Maryi.

Wrócił posłaniec i zbrojono się znowu pilnie do nowego napadu. Szwedzi rozłożyli się w półmilowej odległości na wzgórzu, zkad obserwowali swego przeciwnika. Koruń był pewny, że najwyżej za godzinę zjawią się znowu, przekonani o haniebnój pomyłce. Aby więc ich omamić, kazał się wojsku swemu rozłożyć w długą linię, potem znowu trochę dalej w drugą, a w końcu jeszcze w trzecią i na przestrzeniach dzielących te trzy w ten sposób urządzone oddziały, rozkazał zapalić setki ogni i wkładać w żar smołę, kawałki żywicy i drwa smoczone, ażeby dym był wielki i zakrył ich obóz. W ten sposób wydawało się, jakoby olbrzymia armia rozesała się na téj przestrzeni. Na wszelki przypadek rozkazał Koruń udać się małemu oddziałkowi w głąb lasu, z główniami w rękach, krzemieniem i hubką, któremu dał surowy rozkaz trzymać się na baczności, a w razie, gdyby Szwed wpadł w te odstępny, zapalić je i dymem nieprzyjaciela wykurzyć. „Podcięte drzewa“ — powiadał Koruń — „same się zwałą, skoro tylko otrą się o nie kabaty szwedzkie. Resztę uczyni Święta Panienka!“

I czekali cierpliwie Szweda, ale ten jakoś nie spieszył się z napadem. Minał dzień,

minął drugi, trzeci i czwarty, a Szweda nie widać. Patrzą — siedzi pod górą spokojnie i pali ognie. Co tu robić! Tak długo bezczynnie nie wypada oczekiwać; zwołano radę z najstarszych wojowników, powiadają: „Wysłać na zwiady! Szwed chytra sztuka, może co knuje. Bóg go wie!”

„Więc posłać” — mówią — „posłać i to dziś jeszcze.”

„Pytanie kogo?”

„Ma się rozumieć najsprytniejszego; nie tyle tu bowiem siły potrzeba, co sprytu. Nużby złapali, gotowi porąbać, lub tajemnicę wydusić!”

Myślą nad obiorem posłańca, gdy w tém zjawia się znany nam już syn Bartłomieja, Kazimierz Skaza; upada do nóg dowódczom i swemu ojcu i prosi, by jemu to zadanie powierzyć.

Starszyzna aż się zaśmiała na żądanie chłopaka.

„Co tobie się śni; lepiej wyśpij się pod pierzyną boć zimno.”

„Będę ja spał” — odpowiada chłopak — „ale na trupach szwedzkich. Nie pozwolicie — sam pójdę!”

Skaza pogłaskał syna i mówi:

„Za małyś jeszcze mospanie, dopieroś skończył czternastą wiosnę; sił nie masz,

tu trzeba rosnącego chłopca. Spryt swoją drogą, ale i siła swoją.“

„Nie małym ja tatusiu kochany, nie. Ja wiem, co znaczy bić, co szpiegować, co łupić, dajcie mi tylko broń, o zobaczycie.

„Zabiją cię tam, ze skóry obłupią, nie będę miał syna. A przecież mi trzeba na starość podpory. Ktoby mnie żywił, gdy siły braknie, kto śpiewał, kto gładził czoło? Nie pójdiesz teraz synu, nie! Przyjdzie czas jeszcze, przyjdzie!“

„Ale tatusiu kochany, mnie teraz spieszno. Później nie wiem, co będzie. Teraz jest Szwed, a ja Szweда nie lubię. Muszę go bić. Mówicie, żem mały. Oj, oj, tatusiu! a coście mi to mówili w zimie o naszym królu Krzywoustym? Przecież on był młodszym odemnie, a król, to mógł i nie iść na wojaczkę. Tymczasem chciał i poszedł i jeszcze błogosławili go wszyscy! Tatusiu pozwólcie mi iść do obozu szwedzkiego. Ja mały, to się nie spostrzegą, co ja za jeden, pójdzie starszy — poznają go i zarządzą. Szkoda człowieka.“

Na te słowa czternastoletniego chłopca zdumieli się wszyscy i dowódcy krzyknęli jednogłośnie:

„Idź chłopcze, idź; Bóg z tobą!“ — Sam ojciec już teraz więcej nie bronił.

Kazimierz ubrał się więc natychmiast w bawolą skórę, wziął łapcie z kory na nogi, przywiązał rzemykiem, na głowę włożył barania czapkę i był już gotów.

Podano mu broń do wyboru. Wziął procę — resztę odrzucił.

„Więc idę“ — rzekł, zwróciwszy się do starszyny — „dajcie orędzie.“

Zgromadzeni w koło wieśniacy nie mogli się powstrzymać z rozrzewnienia i radości, na widok dzielnego i pięknego chłopaka, podnieśli go więc w górę i z okrzykiem: „Niech żyje Kazimierz Skaza i polska ziemia, co takie dzieci wydaje!“ — obnosili go z namiotu do namiotu, pokazując jeden drugiemu. W końcu puścili z rąk, by mógł wysłuchać orędzia.

Kazimierz przystanął i słuchał. Bartłomiej nie mógł mówić z rozrzewnienia — zastąpił go Koruń.

„Chłopcze“ — rzekł — „ani wiesz, jak wielkie czeka cię zadanie. Od ciebie po-myślność nasza zawisła. Oto masz iść pod obóz szwedzki, ale bliźutko, a nawet w sam środek, gdyby się udało, i przekonać się, jak wielka jest ich liczba, i co zamyślają robić. Mowy ich nie zrozumiesz wprawdzie, ale jeśli masz spryt, z ruchu obozowego przekonasz się łatwo o ich zamysłach. Liczyć umiesz?“

„Umiem.“

„Daleko?”

„Do miliona!”

„Ho, ho! to wystarczy. Więc dobrze. Idź tylko, zlicz wszystkie namioty i armaty — zasięgnij gdzie w okolicy języka, co słychać w świecie, bo do nas nikt obecnie od ich strony dostać się nie może — czat pełno, to zaraz łapią i rąbią; w końcu oglądnij okolicę, czyby ta bezpiecznie było wpaść im na tyły. Napaść śmiała, wielkie przyniosłaby nam zwycięstwo — możebyśmy Kraków ochronili. Jak nie, to za parę dni już tam będą! Po drodze ściągnij kogo, jeśli się uda, im więcej ludzi, tym lepiej. Gdyby choć jedno działo! No teraz wybieraj się w drogę. Spełnisz wszystko?”

„Wszyściutko!”

„Więc idź, niech cię Bóg błogosławi i Najświętsza Panienka!”

Kazimierz pokłonił się Koruniowi z głęboką czcią; potem przystąpił do ojca, upadł mu do nóg, ucałował rękę i prosił:

„Ojcze, błogosław w drogę!”

Skaza z płaczem pobłogosławił synowi; wtedy porwał się chłopak na nogi, skłonił wszystkim dokoła i w krótkce zniknął w zaroślach, posuwając się szybko ku szwedzkim namiotom.

Kiedy już był tak blisko, iż czuł zapach mięsiwa, które Szwedzi gotowali w kotłach,

zatrzymał się chwilę, by odpocząć. Ukląkł, zmówił gorąco modlitwę, błagając Boga o pomoc — wreszcie wstał i puścił się dalej. W gąszczach napotkał dwie krowy, które pasły się same, łąząc po oparzyskach. Kazimierz oglądnał się na wszystkie strony, czy nie ma gdzie pasterza, ale nie było nikogo. Krowy zagnane z dalekich chat przez wojsko szwedzkie w te bagna, błakały się same i pasły. Sprytny chłopak urwał gałązką wikliny, zrobił z niej cieniuchną fujarkę, z drugiej zaś sporządził rodzaj batoga. W ten sposób udając pastucha, przyśpiewując i grając na fujarce, wygnał krowy z zarośli i pędził prosto przed siebie. Krowy szły posłuszne.

Zaraz przy pierwszym namiocie napotkał strażę. Przytrzymali go i pytają, co zacz?

„Pastuch“ — odpowiada Kazimierz i udał, że płacze. Szwed wziął go za kark i prowadzi.

„Ja ci dam pastuch“ — mówi — „znam cię, tyś syn Bartłomieja Skazy. Nauczymy cię tu rozumu; odechce ci się szpiegować.“

Kazimierz stracił zrazu fantazyę. Nie spodziewał się tak nagle być nagabniętym i to spotkać Polaka, a nie Szweda jak sądził. Przed Szwedem łatwiejby się wywinał, ale przed Polakiem, który znał jego mowę, daleko trudniej. A cóż dopiero, gdy ten Polak znał

go osobiście. Zkąd? — nie mógł przywieść do pamięci. Ani go widział kiedy, ani śnił o nim.

„Chodź“ — rzekł znowu Szwed — „zaprowadzę ja cię przed króla, będziesz tam śpiewał inaczej“ — i pociągnął Kazimierza za rękę.

Do obozu był jeszcze spory kawałek, trzeba było przechodzić jeszcze raz przez gąszcze. Chłopiec nie bardzo chciał spieszyć na baty, których się na pewno spodziewał; dostał więc zkądś nagle animuszu i skoro tylko sam na sam znaleźli się między krzakami, nagłym rzutem wyrwał się z rąk strażnika i już jak tygrys był na jego karku.

„Masz zdrajco Skazę“ — mówił zatapiając mu paznokcie w żyłastą szyję, aż krew tryskała — „masz syna Bartłomieja popamiętaj go sobie. Nie taki on tchórz, jakeś myślał, ho, ho!“

Duszony zdrajca stracił przytomność i runął jak długi na ziemię. Skaza skoczył natychmiast, porwał miecz z jego ręki i ciał aż głowa na metr odskoczyła. Krew polała się strumieniem. Szwed drgnął kilka razy i pozostał martwy, jak kłoda.

„Dzięki ci Boże“ — szepnął wtedy Kazimierz — „daj nowych sił do pracy!“

Potém głowę ukrył w środku krzaka, by ją zabrać z sobą z powrotem; miecz po-

zostawił, nie chciał mieć bowiem żadnej broni, by podejrzenia nie ściągnąć. Proca wystarczała mu w zupełności, a miał ją schowaną w skórze głęboko i kamyki także.

Sprawiwszy się ze Szwedem, a raczej Polakiem zdrajcą, przebranym za Szweda — Kazimierz ruszył dalej. Krowy jak na szczęście nie uciekły z placu, ale szły ciągle, przystając co chwila i pogryzując trawę. Popędzał je więc przed sobą i grał na fujarce.

Wreszcie przybył pod sam obóz. Szwedzi siedzieli przy ogniskach i śpiewali jakieś dzikie pieśni. W pośrodku wznosił się namiot szerszy i wyższy nad inne z chorągwią na szczycie. Przed namiotem przechadzali się Szwedzi tam i napowrót z dobytymi mieczami. Widocznie jakiś starszy tu mieszkał. Kazimierz nie pytał na nic, tylko szedł prosto. Zobaczyli go Szwedzi i powstrzymali natychmiast. Chłopak udał głupkowatego i począł skakać, wykrzywiać się i wyśpiewywać. Szwedzi w śmiech, aż się za boki wzięli. Kazimierz jeszcze śmieszniejsze wyprawiał gesta i nie zważając na otaczających go żołnierzy, przysunął się do kotła, chcąc niby coś z niego wyciągnąć. To Szwedów jeszcze bardziej rozśmieszyło; dali mu spory kawał mięsa, trochę wódki i chleba. Skaza usiadł na ziemi i począł zajadać, tymczasem krowy zajęte

przez żołnierzy poszły na rzeź w drugą stronę obozu. Podczas gdy wszyscy prawie skupili się koło mniemanego głuptasa i śmiali się z jego min i gestów, uderzono dokoła w bębny i zagrano w trąby. Wojsko porzuciło kotły, chwyciło za broń i ustawiło się w gęste szeregi. Kazimierz miał tedy czas i dobrą sposobność rozglądać się po namiotach, policzyć je i obserwować okolice. Ale nie długo to trwało; z głównego namiotu wyszedł rycerz wysoki, barczysty i przyjemnego oblicza, a zbroja na nim, jakby ze złota i srebra. Wielkie pęki piór strusich, ujęte w brylantową oprawę, zdobiły kosztownie i misternie rzeźbiony hełm, a miecz przy boku mienił się od drogich kamieni, które pokrywały pochwę. Przez barki zawieszony miał wspaniały płaszcz z purpury i złota, podbijany sobolem. Stał, a wojsko wśród grzmotu dział, huku bębnow i dźwięku licznych trąb, wygrywających hymn narodowy, salutowało przed najwyższym dostojnikiem. Rycerzem tym bowiem był Karol Gustaw. Wlekła się za nim wspaniała świta, mężowie znakomici rodem i czynem, książęta i generałowie. Z pośród tego tłoku poznał Kazimierz jedną tylko osobę w polskim narodowym stroju i rudych włosach; był to zdrajca Radziejewski. Stał na uboczu cokolwiek, nie mieszając się wiele do rozmowy.

Jakaś zaduma przebiegała się w jego wzroku — śnać żal mu było w duszy biednej ojczyzny; jednak zamykał uszy na jej krzyk boleści, bo obrażona duma gnała go jak wichrem, ciągle naprzód i naprzód na zbrodnie; żal mu jej było, a przecież dobijał. Kazimierz wiele słyszał od ojca o tym magnacie; słyszał, że podłego dokonał czynu i że brzydzić nim się należy. Więc też patrzył nań, jako na gad obrzydzącej natury, jak na rozdętą ropuchę; patrzył, a dłoń mu jakoś swędziła — radby poczęstować zdrajcę kułakiem; lecz wstrzymał swój zapęd i znowu grał rolę półgłupka. Karol Gustaw rzuciwszy wzrokiem przed siebie, spostrzegł go i spostrzedz musiał koniecznie, gdyż Skaza coraz więcej mu się przed oczy nasuwał.

„Co to za chłopiec?“ — spytał swych dostojników.

Książęta spojrzeli po sobie, żaden nie odpowiedział.

„Co to za chłopiec?“ — spytał król powtórnie.

Wtedy Radziejewski ruszył się z miejsca, a oddawszy głęboki pokłon monarsze, ozwał się z cicha:

„To jeden z wieśniaków, którzy spłoszyli Wasze pierwsze pocztę!“

„Wieśniacy?“

„Tak Najjaśniejszy panie!”

„A więc schwytaj go waszmość i wybadać dokładnie; musi on wiedzieć o siłach swych rodaków!”

Radziejewski wykonał rozkaz, a ścignawszy chłopca do namiotu począł wypytywać:

„Co ty za jeden?”

„Syn ojca!” — odrzekł Kazimierz.

„Dobrze, ale jak się nazywasz?”

„Ano Kaze!”

„Co za Kaze?”

„Kaze!”

Radziejewski aż zaczerwieniał z gniewu, lecz pytał dalej:

„Gdzie tu wasz najbliższy obóz?”

„He, he, daleko!”

„Jak daleko?”

„Oha, coś trzy mile, czy dwie!”

„Po której stronie?”

„Jakto po której stronie?”

„Na wschód, na zachód, czy na południe?”

„Nie wiem!” — odrzekł Skaza.

„Ośle, gadaj, bo cię każe ogrzmocić. Zrozumiesz ty łacniój! No gadasz?”

„Ta, co mam gadać?”

„Po której stronie jest wasz obóz!”

„Djabli wiedzą” — znów głupkowato odpowiedział Kazimierz.

To już Radziejewskiemu było za wiele, porwał się z siedzenia i zawołał hajduków.

„Rozłożyć go“ — krzyknął — „a wysypać choćby z pięćdziesiąt! Oj otworzy gębę, otworzy!“

Skaza sam rzucił się na kobierzec i jako prawdziwy męczennik odbierał bolesną plagę. Złość nim miotła okropna, przecież jednak panował nad nią wszystkimi siłami. Gdyby wybuchnął, zdradził by się tém samém. Wołał milczeć i cierpieć.

Po odebraniu piekielnych cięć, które mu skórę w kawały pocięły, wstał Kazimierz zupełnie spokojny, ani jednę łzy nie uroniwszy.

Radziejewski znowu począł wypytywać, odpowiedzi jednak otrzymywał te same. Wściekły prawie od gniewu, rzucił chłopca o ziemię i począł kopać nogami, wołając:

„Gadaj psie, bo cię zamęcę!“

Kazimierz milczał i znosił w spokoju.

„Słuchaj! jak powiesz, gdzie jest najbliższy obóz i jaka w nim siła, dostaniesz natychmiast dwa miechy złota i bogate ubranie. Co zgadzasz się?“

„Cobym się nie miał zgodzić“ — odparł Skaza — „jak chcecie, to was zaprowadzę, ino mnie już nie bijcie!“

„Tak to rozumiem“ — roześmiał się zdrajca — „tak mi gadaj, a nie inaczej!“

„Ta przecież ja dobrze gadał, ino nie umiem tak dobrze się wysłować, ale ja was tam już zaprowadzę!” — a w duchu myślał: „Poczekajcie psubraty, odpłacę ja się wam za moje ciągi, oj poczekajcie!”

Po téj rozmowie z Radziejewskim, został Kazimierz przyprowadzony przed króla.

„Ano cóż nowego?” — zapytał Gustaw.

„Chłopak ten” — odparł Radziejewski — „wie, gdzie jest najbliższy obóz wieśniaczy i ofiaruje się nam za przewodnika. Za pewnością jego przyrzeczenia, ręczę własnymi słowy.”

„No to dobrze, przyda nam się jutro! Tymczasem dajcie mu namiot i pilnujcie strażą; bo któż go wie, co to za ptaszek — może szpieg jaki!”

„Taki smarkacz?”

„Jeszcze mniejsi byli!”

Tu król odwrócił się dając poznać, iż nie życzy sobie przedłużać rozmowy. Radziejewski oddał mu głęboki pokłon, Kazimierz wytrzeszczył tylko oczy — ani głową nie ruszył. Na tém skończyła się audyencya.

III.

Słońce dopiero zeszło i mgła tułała się jeszcze po polach, kiedy Szwedzi zwinęli swoje

namioty. Skazę przywiązano do konia — miał służyć za przewodnika. Kiedy już wszystko było gotowe, ruszyły zbrojne kolumny, jedna za drugą, przy odgłosie surm i bębnow. Król jechał w pośrodku, Radziejewski przy nim.

Skaza wolno puszczoney, pędził naprost wielkiego lasu, gdzie drzewa stały podcięte, gdzie doły były głębokie i gdzie siedziała garstka podpalaczy — pędził prędko jak wichher, ciągle wołając:

„Tędy, tędy!“

Szwedzi pędzili za nim, mijając szybko rowy, pagórki, doliny. Obóz wieśniaków ukryty w krzakach leżał na prawo. Ognie pogaszono tam i zalano wodą, strażę ściągnięto — nikt znaku życia nie dawał.

Skaza cieszył się z tego i ciągle gnał ku drzewom podciętym, ku dołom głębokim.

W godzinę byli już na skraju lasu. Kazimierz obrócił się ku Szwedom i znowu krzyknął:

„Tędy, tędy!“

Szwedzi wbiegli w las całymi rotami. Skaza prowadził ich prosto w zasadzkę. Kiedy już był pewien, że drzewa podcięte blisko, puścił lejce koniowi i począł myszkować. Szwedzi nie zwrócili na to uwagi; rumaki ich przestraszone szelestem liści i trzaskaniem suchych gałęzi, wspinały się jak szalone,

trzęsąc grzywami i parsając głośno. Snać przeczuwały zasadzkę. Nagle Skaza jedném cięciem nożyka, który miał przy sobie, przerwał sznury wiążące go do konia i jak piłka zsunął się na ziemię! Szwedzi za nim! W tém drzewa poczęły się chwiać i z hukiem podobnym do grzmotu piorunów, zaczęły walić się na żołnierzy. Powstał krzyk i łomot nie do opisania. Gniecione konie rżały z ogromną dzikością, krew i mózg tryskały jak fontanny. Chrzęst kości, brzęk wylatującej broni i piekielny okrzyk: „Zdrada, zdrada!“ pomieszane z jękiem konających i rannych, dopełniały krwawego koncertu. Z dala odzywały się trąby, nawołujące do odwrotu. Tymczasem Skaza był już daleko; w ukryciu spotkał ludzi z główniami, wpadł więc do nich i krzyczy: „Podpalaj, podpalaj!“

Wnet buchnął ogień i dym straszny, duszący. W lesie stało się ciemno, jak w nocy. Szwedzi w jęk. Chcą zwracać się w prawo — chłopci już im na karku; pędzą na lewo, a tu doły głębokie.

„Zdrada, zdrada!“ — rozlega się wielki krzyk do koła — „zdrada, zdrada!“

Karol Gustaw, widząc to zamieszanie, sam pędzi w miejsce, gdzie jęk największy, by dodać odwagi. Wojsko na widok dzielnego króla cofa się z lasu, szykuje. Porządek wraca powoli.

„Naprzód teraz“ — krzyczy król, wskazując na gromadkę chłopów — „naprzód!“

Rozbestwione żołnierstwo, chcąc pomścić doznanej krzywdy, rzuca się jak wściekle.

Powstała walka straszna, niebywała! Jak młoty o kowadło, tłukły topory wieśniaków o pancerze szwedzkie; maczugi roztrzaskiwały hełmy, zalewając krwią i mózgiem białe strusie pióra. Szczękały miecze, huczały garłacze, ziejąc ogniem i gradem pocisków, a Szwed walił się na ziemię z jękiem i okrzykiem zgrozy. Koruń walczył jak lew, gniotąc na miazgę przeciwników, łamiąc w rękach ich oszczepy i miecze; walczył i Skaza, walczyli dzielni włościanie, ale mimo odwagi, niesłychanej siły, męstwa i poświęcenia, nie mogli powstrzymać napływających jak woda zastępów nieprzyjacielskich. Z pięciuset ludzi w pół godziny stu ledwo się jeszcze trzymało, a przeszkoda, zrównany z ziemią rów napelniający się trupami — wygodną drogę otwierał zwyciężającym. Spostrzegł to Koruń i Skaza, więc z podwójną gwałtownością prą na szwedzkie hufce, ale daremno; kula odbiera Koruniowi życie, chwieje się i pada między końskie kopyta; Skaza związany sznurami i zakuty w kajdany.

Jakby fatum jakieś przebiegło przez gromadę włościan — rozprasza się, niby mgła za powiewem wiatru.

Teraz już z całą potęgą rozlewają się Szwedzi po okolicy. Wnet zapłynęły pobliskie chaty, wnet rozległ się jęk i krzyk mordowanych kobiet, dzieci i starców, wśród dzikiego wrzasku rozjuszonych najeźdźców.

Kazimierz nie widział tego obrazu. Zagnawszy w las daleko, wraz z piętnastu podpalaczami, chciał obejść tyłem i złączyć się z gromadą, ale Szwedzi byli już wszędzie. Musiał więc skryć się w jaskini i czekać, póki nie odejdą.

Po dwudniowym spoczynku opuścili wioskę, dążąc ku Krakowu.

Kazimierz wyszedł z jaskini i co tchu pobiegł do wioski. Ale cóż za obraz roztoczył się przed nim. Dokoła same pogorzeliska! Wśród zgliszczy pies tylko wyje z bolesti, bo ogień spalił mu skórę, a upadające belki złamały krzyże — z resztą cisza. Na węglach leżą popalone trupy mieszkańców, a dwa z nich dzierżą jeszcze w zaciśniętych konwulsyjnie rękach poszczerbione miecze, oblane krwią przyschniętą i osmolone dymem, a od gorąca kabłąkowato w górę wygięte. Leżą trupy, patrząc w niebo szklannymi oczyma, jakby wołały do Boga o pomstę, straszną, nieubłaganą. Biedni polegli w obronie swęj sadyby i wraz z nią zginęli na wieki, bez księdza, bez spowiedzi, tylko przy dzikich

wrzaskach rozjuszonéj tłuszczy, przy szczéku mieczy i przy jéku mordowanych. Zdawałoby się, iż nikt się już o ich ciała troszczyć nie będzie, iż kruki rozszarpia, co resztę zostało, a kości zgryzą psy zgłodniałe, ale tak nie jest — pozostał jeszcze ostatni z téj wioski, który szczęśliwie uniknął miecza najeźdzców i pomści śmierć swych współbraci. Jest nim Kazimierz Skaza!

Przyszedł na gruzy, spojrzał i zapłakał! „O gdzie wy tatusiu“ — mówi do siebie — „gdzie matko, gdzie wy sąsiedzi? Tu pod węglami, jak kartofle? Oj, oj, wy Szwedy; pomszczę ja się za moich kochanych, pomszczę, choćby przyszło iść na koniec świata!“

Ukląkł i zmówił pacierz za umarłych. Potém powstał, poszedł do swych towarzyszy i mówi:

„Bracia! cóż nam zostało? Nic, tylko zgliszcze. Gdzie reszta? Szwedzi zabrali! Chodźmy więc do nich, niech krwią odpłacą!“

„Teraz nie można, nas mało — porąbią i nic nie będzie. Czekajmy!“

„A długo?“

„Choćby i rok. Potém zbierzemy się w większej liczbie i zaciągniemy do jakiej cho-
ragwi. Teraz Szwed ma siłę, później osłabnie.“

„Niech i tak będzie, byle się tylko pomścić. Przysięgnijmy więc sobie, że razem

będziemy walczyć, razem cierpieć i razem, gdy Bóg każe, umierać!”

„Przysięgamy!” — znów chórem odpowiedzieli wieśniacy.

„Przysięgnijcie, że pospieszycie z pomocą królowi naszemu i naszej ojczyźnie, choćby wypadało wszystko postradać!”

„Przysięgamy!” — po raz trzeci podniósł się głos piętnastu obrońców. — Słuchały ich wiatry, świszczące po polach i czarne ptactwo na drzewach. Jeszcze raz uklękli i zmówili modlitwę, a cisza była dokoła wielka, uroczysta!

IV.

Źle działo się w Polsce, kiedy Szwed wtargnął aż do Krakowa; równocześnie bowiem Kozacy, podnieceni zwycięztwami, opanowali Podole, Wołyń i Ukrainę — nawet Lwów oblegli; Car niszczył Litwę i Wilno puścił z dymem. Każdy mówił, że dla Polski ostatnia już wybiła godzina, że przyjdzie jej wreszcie umierać. Strach przejmował każdego; możniejsi przechodzili na stronę zwycięzców łamiąc wiarę, depcząc stare tradycje i wysmiewając miłość ojczyzny. „Tam ojczyzna, gdzie dobrze” — mówili — „tradycje i jakaś głupia miłość, to wszystko dziecinne zabawki.

Piękne to, ale się wnet potłucze i nikomu na korzyść nie wyjdzie. Służmy temu, kto lepiej płaci.“ I przechodziły stare rodziny, częstokroć mające mir między współbraćmi, na łono nieprzyjaciół. Tak Polska, targana z zewnątrz i osłabiona wewnątrz, chyliła się coraz bardziej. Król nawet zwątpił o wskrzeszeniu dawniej potęgi. Panowie nie chcieli go słuchać, stracił w oczach ich godność i zasługi, boć Gustaw umiał podburzać. Stojąc na polskim gruncie, gospodarował na nim, jak w domu. Nie troszczył się wielce o poddanie wszystkich warstw narodu i co chwila gotów był ogłosić się królem polskim. „Obejdzie się“ — mawiał — „aby mnie Polacy obierali; ja się sam obiorę ich królem, za pomocą téj oto elekcyi“ — i tu się uderzał po szabli. Hulał więc i rabował, nie szanując ani płci, ani wieku, ani miejsc poświęconych samemu Bogu. Kiedy wtargnął na zamek krakowski, chciwy skarbów, wpadł najpierw do świątyni. Hostye, kielichy, ornaty, krzyże, urny, relikwie oprawne bogato i wszystko, cokolwiek miało pewną wartość, kazał rabować i zabierać na wozy. Nawet zapędził się do grobów, bo słyszał, że tam Polacy skarby wielkie pokryli. Wprawdzie nie znalazł, czego szukał; ale to, co było pod ręką, padło ofiarą. Kiedy z dumną miną, w kapeluszu na

głowie, przechodził koło grobowca Władysława Łokietka, kanonik Starowolski, który króla oprowadzał, zatrzymał się przy nim i rzekł: „Tu leży król, który trzy razy był z kraju wygnany i trzy razy wracał.“ Na to Gustaw: „Ale wasz Kazimierz już nigdy nie wróci!“ „Kto wie?“ — odrzekł Starowolski — „Pan Bóg jest Wszechmocny!“ Gustaw się zamyslił i z uszanowaniem zdjął z głowy kapelusz. Od téj chwili, jak powiadają, stracił w siebie wiarę i wątpił o zwycięstwie.

Pohulawszy w Krakowie, zwrócił Gustaw swe chciwe oko na Jasną Górę, gdzie klasztor nadzwyczaj bogaty. Ojcowie Paulini, którzy tu osiedli, przeczuwając, że w razie jakiej wojny, będą wystawieni na niebezpieczeństwo — wzniesli dokoła dość silne i wysokie mury i utrzymywali załogę. Załoga ta jednak była bardzo maluczka. Stanowiło ją 160 żołnierzy klasztornych.

Na wieść o zbliżaniu się Szwedów, wszyscy stracili ducha. Okoliczna szlachta pokryła się za murami klasztoru, tak, że liczba obrońców powiększyła się o 50 ludzi. Ale cóż to było w obec armii Millera, który nadciągał z 17,000 żołnierzy i 20 armatami. Choćby nawet wszyscy zakonnicy porwali za oręż, a było ich sześćdziesięciu, przecież była to tylko nader szczupła garstka. Miller

podsuwał się pod klasztor, drwiąc sobie z małej załogi. Tak pewnym był zwycięstwa, że przygotował już sznury i kajdany na krępowanie pojmanych, a liczne wozy na składanie skarbów.

„He, he!“ — śmiał się — „patrzcie, co za kurnik. Hola kury, kogut czeka.“

Ale zakonnicy nie stracili otuchy. Był między nimi mąż jeden, który dość miał w sobie zapału, męztwa, poświęcenia i wiary, ażeby zagrzać swój maleńki oddział, a przyćmić tysiączną armię Millera. Mężem tym był przeor Paulinów, Augustyn Kordecki. Ten postanowił bronić się do upadłego, i raczej życie postradać, aniżeli pozwolić, by Szwed plugawił miejsce, tylu cudami wślawione. Wiadomo bowiem, że klasztor na Jasnej Górze posiada obraz Najśw. Panny, malowany na tablicy z drzewa cyprysowego, podobno ręką apostoła Łukasza, znaleziony niegdyś w Nazarecie w domku, gdzie Chrystus Pan się wychował. Miejsce to, gdzie teraz obraz złożony, słynie na cały świat cudami i każdy, kto się tu tylko przybliży w pokorze ducha, wierze, miłości i nadziei, doznaje łask nadzwyczajnych: chromi chodzą, głusi słyszą, ciemni widzą, opętani pozbawiają się czarta, zatwardziali mięknią, złoczyńcy na dobrą zwracają drogę.

Otóż Kordecki zwołał zakonników i tak do nich rzecze:

„Bracia! Ciężkie nastały czasy. Zakonnik oddany jedynie Bogu, musi dziś walczyć także z ludźmi i to walczyć nie słowem, ale bronią: garłaczem, szablą i toporem. Nie wchodzi to w naszą regułę, owszem jęj się sprzeciwia, ale konieczność zmusza nas do tego śmiałego kroku. Bóg przebaczy, bo walczymy w Jego Imieniu i o chwałę Jego Imienia; walczymy w obronie upadającęj Polski, w obronie cnoty, w obronie właściwego monarchy. Kara to Boża, te rotę szwedzkie, boć wiele zawiniliśmy. Rodacy nasi zburzyli dom zgody — biada nam, biada! Głos zakonników nie wiele pomógł — może dziś oręź pomoże. Niech nam błogosławi Najśw. Panna, Ją obierzmy sobie za puklerz i sztandar w tęg wojnie. Ona da nam zwycięztwo — miejmy wiarę! Wzywam was przeto bracia do bitwy; oto broń leży przed nami — zbróćcie się! Za godzin kilka Szwed zionie ogniem, a mury trząść się będą i góra cała i okolica; nastąpi dzień sadnemu podobny, chrzest krwawy — ale Bracia miejcie odwagę; z modlitwą na ustach a mieczem w dłoni uderzcie na przeciwnika — modlitwa zwycięży, miecz resztę dokona. A teraz módlmy się!“ — i ukląkł czcigodny rycerz Chrystusa, wzniósł

ręce w górę i na głos odmawiał pacierze; odpowiadali mu zakonnicy.

Tak sposobila się do bitwy załoga Jasno-góry! Zobaczymy, co inni robią!

Kazimierz Skaza, usłyszawszy tylko o wyprawie Szweda do miejsca świętego, aż zapłonął z gniewu.

„Ten heretyk“ — krzyczał — „śmiał się aż tam posunąć, aż tam swoją władzę rozciągać! Oj łotry, bisurmany, dam ja wam! Choćbym miał kości połamać, dopędzę was jeszcze!“ — i siadł na konia, a ręką skinął towarzyszom, by pędzili za nim.

Zima już była; śnieg zalegał wszystkie pola, pagórki i doliny, a lód ściał szybkie strumienia i rzeki. Mróz aż doskwierał — każdy płatek śniegu iskrzył się, jak dyament. Wrony łaziły z miejsca na miejsce, podskakując na jednej nodze i szukając ściierwa. A było go dość od ostatniej potyczki. Dokoła leżały trupy ludzkie i zwierzęce. Śnieg przysypał ich do połowy, gdzie nie gdzie poczynił wysokie zaspę, niby mogiły. Myślałbyś, że cmentarz, tylko krzyżów nie widać, ani pomników.

Wśród takiego krajobrazu przesuwala się garstka dzielnych wieśniaków. Do piętnastu dawniej sprzysiężonych, dołączyli się jeszcze inni włościanie z rozmaitych okolic, równie

pozbawieni wszystkiego, i przyszłość swoją opierali na mieczu. Byli tam chłopci rośli jak dęby i jary, a nie obrali z pośród siebie dowódcy, tylko oddali je Kazimierzowi, raz dla zasług ojca, drugi raz dla osobistej jego odwagi, męztwa i poświęcenia. W ważnych tylko wypadkach, gdzie rozum chłopca nie mógł podołać, wspierali go swą mądrą radą i ramieniem. Zresztą posiadał Kazimierz zupełną nad nimi władzę. Słuchali go, jak doświadczonego wodza. Rozkazy wypełniali natychmiast. Nic też dziwnego, że Skaza w krótkce stał się głośnym w całej okolicy; nawet król o nim zasłyszał, a Kordecki do siebie zapraszał. „Im więcej dzielnych, tym lepiej“ — pisał do niego w liście przysłanym przez osobnego posłańca — „złączcie się więc z nami, kochany Kazimierzu; niech przynajmniej razem pomrzemy, jeśli Bóg nie da zwycięstwa. A gdyby człek skropił tych nieszczęśnych Szwedów, to będziesz korzystał ze sławy, jaka wszystkich okryje. My zakonnicy jój nie chcemy; wystarczy nam własne zadowolenie. Czarniecki teraz jeszcze nie może się ruszać, sił mu brak, choć męztwa wiele; powinienes przeto wzmocnić go twym oddziałkiem. Da Bóg, tak wspomagając się wspólnie, wykurzymy Szweda, a miłościwemu naszemu monarsze wrócimy wypadające z rąk

berło. Spiesz się więc, spiesz, kochany Kazimierzu; oczekujemy cię tu z upragnieniem. Szwedów liczba wielka. Już przyciągnęli pod górę — wnet spodziewamy się szturm. Niech ci Bóg błogosławi na drogę!”

Skaza otrzymawszy tak zaszczytne zaproszenie, aż się rozplakał z radości. Jeśli dotychczas był mężnym, to teraz stał się lwem; jeśli dotychczas posiadał zapał, to teraz prawie palił się cały. Wszystko mu było jedno, sto, czy tysiąc — jednako bił jednako zwyciężał. Napadał z takim szturmem, jak wichur gwałtowny. Nieprzyjaciół częstokroć nie miał czasu się opamiętać, a już uciekał, jak zmyty, zostawiając wszystkie łupy i zdobycze. Skaza nie łakomił się na nie, zabierał tylko broń i nabój, bo te mu były potrzebne, resztę zostawił na polu przy straży wron i kruków. Gdzie się pokazał, tam wstępowała w serca włościańskie otucha, a w szeregi szwedzkie leciał strach na ognistych skrzydłach. Ludzie mówili, że to „wybraniec niebios”, że posiada siłę cudowną, i że go nie imają się kule. Niektórzy posądzali go nawet o konszachty z szatanem. Tymczasem wszystkie te cuda sprawiały tylko: męstwo, wiara i miłość ojczyzny.

Kazimierz zbliżał się ku Jasnej Górze. Zdala już połyskiwały krzyż na szczycie wy-

sokiej wieży i szare mury klasztoru, a pod górą białe pole nakryte śniegiem i niezliczonymi namiotami.

„Patrzcie, oto Jasno-Góra“ — ozwał się wtedy Skaza do swojej gromadki — „oto Jasno-Góra, gdzie spoczywa kotwica Polski. Od nas zależy uchronić ją lub oddać w ręce nieprzyjaciół. Bracia powiedzcie, co lepiej?“

„Zachować ją, zachować!“ — krzyknęła gromadka.

„A więc i zwyciężyć!“ — dodał Kazimierz.

„Tak i zwyciężyć!“

„Zwycięztwa zaś nie osiągniecie“ — mówił dalej Skaza — „jeśli będziecie się troszczyć o swe życie, o przyszłość. Trzeba powiedzieć sobie: zginę, by życie innym ocalić. Miejcie tylko wzgląd na ojczyznę, na miłostwego monarchę, a nie na siebie. Wasze życie Bóg sam uchowa. Czyli chciałem przez to powiedzieć: „Nie lękajmy się trudów, przewagi nieprzyjaciela i niewygód. Co dla innych będzie się zdawać niemożliwem, nam musi pójść jak z płatka; gdzie inni będą widzieć tylko rychłą zgubę, my powinniśmy oglądać zwycięztwo. Rozumiecie kochani towarzysze?“

„Rozumiemy, rozumiemy! Prowadź nas, choćby na koniec świata. Fraszka my, byleby naszym braciom było dobrze! Prowadź nas, prowadź!“

Skaza upadł na ziemię i długo leżał krzyżem modląc się gorąco, potem wstał i kazał się swoim posuwać.

„Tylko spokojnie, niech broń nie szczeka!“

Włóścianie posłuszni młodemu wodzowi, ujęli broń w rękę i cicho, z zapartym oddechem, wydłużeni w sznur, jeden za drugim posuwali się naprzód.

Mróz docinał do żywego, jeźdźcom nogi przymarzały do strzemion, a z ust wychodziła para w kształcie obłoczków. Zdala dochodziło ich rzenie koni i śpiewy szwedzkie.

„Ho, ho! coś się wesela“ — zauważył jeden z wieśniaków.

„Nie długo tego będzie!“ — odszepnął mu drugi.

„Po śmiechu płacz“ — rzekł Kazimierz —

„popłaczą bestye wilczymi łzami, oj popłaczą!“

„Żeby to Millera ująć“ — wtrącił znowu chłop — „bo to podobno tchórz wielki; on tylko udaje zucha, ale jak kulki świszczą, to bestya chowa się w kąt namiotu. Tak mi jeden z chłopów opowiadał, co był pod Krakowem. Bili się tam w jakiejś wsi. Miller wrzeszczy, że każe wszystkich wywieszać, jak mu się dobrowolnie nie poddadzą, wbijać na pal, siekać i rąbać. Wychodził na przód namiotu, nadymał się i groził pięściami, ale jak tylko kula zabiła przy nim oficera, pan Miller

zmyk do budy i schował się tam, jak w norze. Caluteńki dzień potém ani nosa nie wyściubił.“

„Śluszna rzecz. Byłem ja w bitwie z tymi Kozakami, co to im Chmielnicki dowodzi. Kiedy się pod Szklowem rozłożyli, dokazywał dużo jakiś wódz kozacki; wydrwiwał sobie z Polaków i z ich Bozkiej Panienki; rzucał obelgi za obelgami, potém wlaźł do obozu i smacznie zajada. Aż tu Polacy jak nie zaczęą grać na armatach, to kule pędziły tak gęsto, jak grad. Ów kozak, także jak Miller tchórzem podszyty, choć przed chwilą udawał takiego junaka, skrył się po za żelazną skrzynię, która w namiocie stała. Myślał, że go tu już żadna kula nie imie. Ale ledwie się tam usadowił, trzasła kula w sam środek skrzyni, potłukła ją w kawałki, a ukrytemu za nią kozakowi urwała łeb i obie ręce. No i powiedzcie, na co się przyda ukrywać?“

„Tak jest, kochani bracia“ — odrzekł Kazimierz — „tchórz zwykle prędzej ginie, niż chce i się spodziewa, a mężny nawet z piekielnego ognia wychodzi, na przykład ten Wieloch!“

„Co za Wieloch“ — spyтали najbliżsi wodza wieśniacy.

„To nie słyszeliście o nim?“

„A nie!“

„A więc posłuchajcie. Kiedy panował w Polsce dzielny król Stefan Batory, również elekcyjny, jak i nasz terażniejszy, prowadził wielką wojnę z Moskalami, mianowicie z carem Iwanem, okrutnikiem, o jakim świat jeszcze nie słyszał. Iwan sam na wojnę nie wyszedł, bo zwykle okrutny nie ma najmniejszego męztwa, ale wysłał swoich generałów. Przeciwnie nasz król Batory przodował zawsze swemu rycerstwu. Wojna szła dla nas pomyślnie; nie tylko odbierano Moskalowi wszystko, co zabrał, ale wpadano nawet do jego własnego kraju, czyniąc tam wet za wet ogromne spustoszenia. Sam król nie mógł być na każdym miejscu, więc powierzył pewną część wojska hetmanowi koronnemu. Hetmanem wtenczas był Jan Zamojski, kropla w kroplę pod względem męztwa podobny do naszego Czarnieckiego. Odbierając miasta, przyszedł z kolei pod Wielkie Łuki. Ciężka to była przeprawa. Moskale bronili się zapalczywie. Kule leciały jak deszcz ognisty. Do tego jeszcze trzeba było rozkopywać wały, którymi otoczono zamek, co nie mało zajmowało czasu i zajęte pracą wojsko na wielkie wystawiało niebezpieczeństwo. Jeden z takich wałów był bardzo gruby i silny. Za nim siedziało Moskiewstwo lejące ciągle kulami. Otóż, aby ztamtąd wykurzyć Moskala, nasi podłożyli

pod okno chrustu, słomy, łuczywa. Teraz trzeba było to wszystko zapalić. Niebezpieczeństwo wielkie — nikt się jakoś nie porywa, bo co który podejdzie, Moskale bęc, bęc... i już leży. Zdawało się, że szczęśliwy pomysł nie zostanie wykonany. Na chwałę atoli narodu naszego, znalazł się przecie jeden chłopak Mazur, nazwiskiem Wieloch, a choć już był ranion, przecież porwał za ogień, przyskoczył i zapalił, nie zważając, że jak grad kule koło niego świstały.“

„I wyszedł cało?“ — zapytali jednogłośnie wieśniacy.

„Ma się rozumieć! Ani znaczkmu żadna kula nie zostawiła. Widzicie z tego, że mężnych Pan Bóg zawsze od śmierci zasłania, a tchórze giną jak zające.“

„Prawda, święta prawda!“

Tak gawędząc i dodawając sobie otuchy, zbliżyli się włościanie pod same okopiska Jasno-Góry. Z drugiej strony rozłożyli się Szwedzi.

Noc była jasna, księżyc połyskał jak matowa lampa, a gwiazdy mieniły się i iskrzyły, niby brylanty. Kazimierz spojrzał na niebo. Nigdy jeszcze w życiu noc podobna nie wydawała mu się tak piękną, jak teraz. W duszy uczuł jakąś świeżość i pewność siebie. „Bóg nam pomoże“ — szeptał — „kiedy tak piękną

obdarował nas nocą w chwili najważniejszej.“
Potém zakręcił z swym oddziałkiem nieco na prawo, pod basztę. Na murze stał żołnierz na straży.

„Kto tam podchodzi?“ — zapytał.

„Kazimierz Skaza“ — odpowiedzieli wieśniacy.

Żołnierz zszedł z muru i bramkę otworzył. Chłopi sznurkiem przechodzili przez nią cichutko.

„Witajcie nam!“ — ozwał się znów żołnierz — „od wczoraj was czekamy. Szwed lada dzień szturm przypuści; już posły słał.“

„A na co?“

„Ot, abyśmy się bez bitwy poddali, bo jak poseł zapewniał, Miller zje sobie nas na śniadanie!“

„Pierwój mu zęby z paszczy wylecą, niż nas pochrupie“ — odrzekł Kazimierz — „Miller tchórzem podszyty. Ot chciałby skarbów, ale bez pracy, bo strach go zbiera. Poczekaj Millerze, poczekaj! Są tu wieśniacy, którym wydarłeś ojca, matkę, braci, siostry, dzieci i żony; są poszkodowani, którym zniszczyłeś cały dobytek, spaliłeś zagrodę — są i mścić się będą!“

„Wam też wydarł ojca?“ — zapytał żołnierz.

„Mówią mi, że wziął do niewoli. Ja sam w téj bitwie nie byłem obecny, więc nie wiem na pewno. Jeśli zaś go naprawdę wziął, to odda natychmiast, bylebym znalazł.“

„Szwedzi pojmanych mordują!“

„Słyszałem i ja o tém, ale coś mi w duszy mówi, że ojciec żyje. Nawet pewny jestem. Bóg go tam nie opuści, bo bił się walecznie za swoją ojczyznę!“

Rozmowa prowadzona dość głośno, szczerk broni i parskanie rumaków, sprowadziły jednego braciszka. Otworzył bramę i spytał:

„Kto tam jest?“

„Kazimierz Skaza!“ — odrzekł wartownik.

„To chodźcież się ogrzać, na dworze zimno. A konie są?“

„Są!“

„To zostawcie je tymczasem na dziedzińcu. Karbowy zagna je do stajni. Chodźcie!“

Skaza poprawił na sobie ubranie, powitał zakonnika i wszedł do refektarza, wieśniacy za nim. Tu posilili się nieco i ogrzali. Zakonnik poszedł dać znać przeorowi, że oczekiwany już przybył. Za chwilę był już z powrotem.

„Książd przeor was woła“ — rzekł do Kazimierza — „rad bardzo, że już u nas jesteście“, i poprowadził go do celi przeora.

Kordecki nie spał, ale modlił się gorąco, błagając Boga o zwycięstwo. Wsparty na klęczniku i zwrócony do obrazu Maryi, nie spostrzegł zrazu wchodzącego Kazimierza; skoro jednak cień jego zarysował się na przeciwległej ścianie, Kordecki spojrzał ku drzwiom. Przy drzwiach stał Kazimierz.

„A kochany Kazimierzu, witajcie!“ — zawołał przeor — „wyglądamy tu was, jak jaskółki za wiosną. Ślicznie, ślicznie, tak młody chłopak, a taki dzielny!“

Kazimierz upadł do nóg Kordeckiemu i ze łzami w oczach odpowiedział:

„Przewielebny ojcze! Nie wiem ja, com uczynił i nie chcę wiedzieć. Zabito, czy porwano mi ojca, to też biję Szweda, by pomścić tę krwawą stratę. Teraz zaś błagam was przewielebny ojcze, byście przyjęli mnie wraz z mym oddziałkiem. Pod okiem dzielnych rycerzy, może coś więcej zdołamy zdziałać, niż dotychczas!“

„Nie macie o co prosić“ — odrzekł przeor — „przecież ja was wołałem. Często-kroć szczupły oddziałek wielkich dokonuje czynów, a o was słyszałem, żeście chłopcy dzielne i twarde, jak żelazo. Nie wątpię więc ani na chwilę, że się nam tu bardzo przydadacie. Szwedów przyszła olbrzymia liczba, mają armat aż dwadzieścia, ale wiary nie

mają. Nas tu maleńka garsteczka, mury słabe, armatki nieliczne i liche, ale z nami idzie Najświętsza Marya!“

„Więc zwyciężymy“ — odpowiedział Kazimierz.

„Bóg by dał! Mam nadzieję, boć o podobnych wypadkach opowiada nam historia, z czego widać, że Bóg wiernych nigdy nie opuszcza. Ale nie traćmy czasu — już po północy. Nie widzieliście jeszcze obozu szwedzkiego, muszę go wam pokazać.“

Kordecki zarzucił na siebie ciężki płaszcz sukienny, wziął z sobą krzyż, przeżegnał się i wyszedł. Kazimierz postępował za nim. W krótkce znaleźli się na murze. Dwie liche armatki strzegły tego miejsca. Pod murem była kupa wielkich kamieni, które przygotowano do bitwy, aby w braku kul, nimi razić nieprzyjaciela. Przed klasztorem, w oddaleniu pięciuset kroków, bielily się namioty szwedzkie i połyskiwały gasnące już ogniska. W obozie panowała cisza grobowa. Wszystko spało w najlepsze. Nawet straży nigdzie nie widać. Śnać Miller nie wiele robi sobie z klasztornéj załogi.

„Oto nieprzyjaciel!“ — rzekł Kordecki, wskazując ręką na obozy. „Wielki, bo wielki, jak widzisz, ale przecież jeszcze nie mamy powodu do strachu. Tatarów częstokroć więcej było, a wytrzymaliśmy!“

„I teraz wytrzymamy“ — odrzekł Skaza, „nie taki djabeł straszny, jak go malują. Ciekawym tylko, gdzie namiot Millera; warto-
by go mieć zawsze na oku. Słyszałem od ojca, że w bitwie najważniejszym jest wódz; jeśli ten zostanie ujętym lub zabitym, wojsko zwykle pierzchnie i traci otuchę!“

„Masz słuszność“ — odrzekł Kordecki — „wódz wiele znaczy. Otóż chcesz widzieć, gdzie jego namiot? Patrz! Ukryty on między tymi pagórkami na lewo za wozami. Anibyś pomyślał, że tam jego siedziba. Widocznie boi się, kiedy nie chce być dostrzeżonym.“

„Mówiłem ja to dzisiaj moim towarzyszom“ — wtrącił Skaza — „ot i sprawdza się. Nie lękam się, przewielebny ojcze; Najświętsza Panna użyczy nam zwycięstwa!“

„Bądź dobrej wiary, synu“ — rzekł przeor — „a Bóg dopomoże!“

Po tych słowach wrócili obaj do klasztoru. Kazimierzowi wydzielono osobną wygodną celę. Oczekiwano poranku.

V.

Zaledwie zabłyśło słońce, już Szwedzi byli na nogach i szybko zbliżyli się pod same mury klasztoru.

„Poddajcie się!” — krzyczał Miller — „inaczéj poduszę was jak kurczęta.”

„Przyjdź i duś!” — odpowiedziano mu z murów.

To rozgniewało dumnego Szweda; kazał więc natychmiast bić z armat. Pierwsze kule uderzyły w gumna i wszystko zboże, które tam było złożone, zamieniły w kupę popiołu i sadzy. Załoga klasztorna odpowiedziała silną kanonadą. Skaza nie umiejąc jeszcze obchodzić się z armatami, stanął na uboczu bezczynny, przypatrując się strzelającym żołnierzom. Dziesięć minut trwała ta lekcya, a skoro tylko padł żołnierz, kierujący dotychczas armatą, przybiegł Skaza i począł tak szybko i celnie wypuszczać ogniste pociski, że się wszyscy dokoła wydziwić nie mogli.

„A to mi gracz” — mówili starzy żołnierze — „gotów nas zakasować. Patrzcie, jak strzela!”

W saméj rzeczy, każdy pocisk zmiatał szeregi Szwedów i rozpraszał całe oddziały. Kordecki zegnał go z dala. Szwedzi przedstawiali drabiny i chcieli wspinać się do góry. Załoga klasztorna strąciła ich kamieniami. Powstał zamęt i krzyk nie do opisania. Skaza aż zacierał ręce, a co chwila się zegnał. „Dobrze idzie” — mówił do siebie — „jaki początek, taki i koniec!”

Nie długo trwała ta walka; Szwedzi straciwszy wielką ilość ludzi, zaprzestali dobývania. Już wszystkie działa ucichły, a Skaza, jakby nie widząc i nie słysząc nic dokoła, bił i bił bez ustanku. Szwedzi padali jak muchy. Wreszcie Kordecki przystąpił do niego i rzekł:

„Dość już bracie, odpocznijmy teraz; Bóg dał zwycięstwo!“

Skaza upadł na kolana i gorącą zmówił modlitwę, potem powstał i stanął na wałach, aby się przyjrzeć pobojuwisku. Całe pole, jak okiem sięgnąć, zasiane było trupami. Między nimi znajdowało się kilku generałów.

„Nie źle, nie źle“ — mówił Skaza do siebie — „kilka podobnych napadów, a już Szweda nie będzie!“ — to mówiąc, opuścił wały i pospieszył na nabożeństwo dziekczynne, jakie natychmiast odprawił przeor wraz z całą załogą.

Kilka dni siedzieli Szwedzi spokojnie, wreszcie ruszyli się znowu. Przed nimi toczono olbrzymie burzące armaty. Miller jechał w środku na jabłkowatym koniu, a trząsał się cały od gniewu, zaciskał pięści i zgrzytał zębami.

„Poczekajcie mnichy“ — wołał na całe gardło — „odpokutujecie dzisiaj za wasz upór. Ani dziecku nie przebaczę, wszystko wyrnę co do nogi!“

Na tę groźbę odpowiedzieli chłopci rżę-
sistym ogniem i głośnym okrzykiem: „Hurra!
Bij Szweda psubrata!”

Rozpoczęła się znowu walka straszniejsza
niż przedtém. Szwedzi rzucali pękające bomby
i granaty, a szczupłej garstce obrońców jasno-
górskich w niedługo nawet kamieni zabrakło.
Teraz rzucili się żołnierze na same mury,
spychając zeń wspinających się Szwedów.
Zwykle czekano, póki się drabina całkiem nie
napelni, a kiedy już Szwed głowę u wierzchu
pokazał, ścinano mu ją, a drabinę podważono,
przyczem wszyscy ci, którzy się wdrapać
ośmielili, na łeb, na szyję wpadali do rowu
i w zasy pył śnieżny, łamiąc nogi, ręce i krzyże.
Dość długo trwała ta walka zapaśników.
Szwedzi wystrzelali olbrzymią masę prochu
i kul, a mury jasnogórskie nie złamały się
pod ich uderzeniami. Nawet z ludzi kla-
sztornych mało kto zginął. Był to właśnie
dzień Ofiarowania Najśw. Panny. Zakonnicy
odstąpili z placu bitwy, podążając na uroczyste
nabożeństwo. Została się tylko szczupła
garstka żołnierzy, dzielnych wieśniaków i nieco
szlachty — reszta ukryła się po rozmaitych
kątach klasztoru lub pospieszyła za księżmi.
Jeśli dotychczas krucho było z klasztorną
załogą, to teraz upadała prawie na siłach,
choć duch jój mocniejszy jeszcze był nad gra-

nity; ale cóż to znaczyło w obec krociowej armii nieprzyjaciela! Kilku Szwedów przypadało na jednego żołnierza z klasztoru, kilka armat na jedno działo paulińskie. Cudu więc trzeba było, aby ta szczupła garstka mogła się utrzymać i cud ten w samej rzeczy nastąpił. Kiedy najgłośniej grały działa szwedzkie, nad kościołem ukazała się postać Najświętszej Maryi Panny, otoczona srebrzystym obłokiem i niebiańską jasnością. W rękach trzymała swój płaszcz niebieski i zasłaniała nim mury klasztoru. Wszystkie kule odbijały się na powrót, rażąc samego nieprzyjaciela; wszystkie granaty pękały zaraz nad obozem szwedzkim, nie dosięgnąwszy jeszcze Jasno-Góry, a dziełując Szwedów; wszystkie pociski wracały z powrotem do miejsca, z którego wyszły. Kapłani widząc ten cud nadzwyczajny, padli na twarz i dziękowali Bogu za potężną pomoc. Wszystkim do serca napłynęła otucha, jakoś żywiej brali się do dzieła i skuteczniej przerzadzali nieprzyjaciół. Sam Kordecki z krzyżem w jednej ręce, a mieczem w drugiej, wmieszał się w największy wir bitwy, dodając męstwa załodze. „Niech żyje Kordecki!” — odezwał się chór obrońców, spostrzegłszy tak dzielnego wodza — „niech żyje nasz wódz ukochany!” — a Kordecki ze łzami w oczach zegnał i błogosławił swe

szczupłe hufce, wołając głośniej, niż huk armatni, a słodziej niż śpiew słowika: „Dzieci, dzieci, żwawo w imię Boga, nie traćcie meztwa. Jeszcze chwile tylko, a Najśw. Panna Marya pobłogosławi naszemu orężowi.“

Kazimierz walczył jak lew, narażając się co chwila na groźne niebezpieczeństwa. Ile razy osłabła mu ręka lub kula zagwizdała nad głową, tyle razy Kazimierz żegnał się zawieszonym na szyi szkaplerzem i bił się w piersi z pokorą, odmawiając bezustannie modlitwy. To też Marya Dziewica szczególną otoczyła go opieką, żadna kula go nie zadrasła, żaden dziryt nie zadał rany. Wieśniacy również trzymali się silnie, jak mur żelazny, a purpurowa ich chorągiew z obrazem Maryi na jednej, a przebitém sercem na drugiej stronie, szumiała w powietrzu, jak słodki szept modlitwy Aniołów. Niektórzy słyszeli nawet jakąś śliczną melodyjną muzykę i łagodne śpiewy, a Kordecki na własne oczy widział, jak Marya Dziewica unosiła się nad klasztorem, otoczona symfonią Cherubinów.

Szwedzi nie mogąc jakoś podołać „nikczemnemu kurnikowi“, a poniósłszy olbrzymie straty w swój armii, cofnęli się po raz wtóry, zostawiając za sobą krwawe pole zasiane trupami. Miller kłął na wszystkie świętości, zgrzytał zębami jak pies, kiedy go

wściekłość napada, pieniał się, jeżył, ścisnął pięści i bił nimi z okropną złością po rękojeściu miecza, aż jęczało — a jednak nie mógł zaprzeczyć prawdziwego cudu i nadzwyczajnej a tajemniczej siły, która klasztor od ich napadów chroniła. Sam nawet widział, jak postać Maryi unosiła się nad klasztorną załogą. Opowiadał o tém generałom, ci również potwierdzili to samo.

„Tak jest, tak jest“ — mówił z nich jeden — „tych przeklętych mnichów broni jakaś nadludzka siła. Powiedźcie wodzu! Kazałem żołnierzom mierzyć w tę główną basztę po lewej stronie; chłopcy zakładają nabój i chcą już bić na komendę, aż tu trzask — wszystkie armaty pękły, jak łupina z orzecha. Jużem osiwił przy wojsku i na polu bitwy, a jeszcze czegoś podobnego nie widział. Rozgniewany pędzę ku armatom, aby zbadać przyczynę tego niezwykłego wypadku, oglądam wszystko, jak się należy, ale klnę ci się wodzu, nie dostrzegłem nic takiego, coby jakieś podejrzenie na żołnierzy rzucało. Po prostu był to wypadek — wypadek niesłychany i nadzwyczaj tajemniczy.“

„Pewnie mnichy rozbiły ją kulami!“ — wtrącił Miller.

„Bynajmniej“ — odparł generał — „ani kamyk nawet nie leciał w tę stronę.“

„A ja widziałem“ — mówił drugi — „jak jedna karabinowa kula zmiotła pięćdziesięciu moich żołnierzy. Czy to nie cud jakiś, czy nie siła szatańska?“

„Ha, ha, ha!“ — zawrzeszczał Miller — „tchórze z was wszyscy i kwita. A to wstyd, żeby jakiś mnich w kapturze ośmielił się występować przeciw rycerzom okrytych w żelazną zbroję, a to wstyd mospanie! W dzień Bożego narodzenia przypuścimy szturm ostatni. Jeśli zwycięztwo nie pochyli się w naszą stronę, wszyscy mi za to odpowiecie waszymi głowami. A teraz marsz do namiotów!“

Tak odprawieni generałowie, z szatańską złością opuścili Millera, klnąc w duchu nie-szczesną wyprawę. Skupiwszy się następnie koło ogni, poczęli pić i wywodzić szalone pieśni. Żołnierstwo poszło za ich przykładem. Wszczęła się pijatyka, co się zowie, dopóty, dopóki każdy jak martwy nie upadł na kupe śniegu i nie zasnął snem twardym.

Na Jasnej Górze również cicho; zakonnicy modlą się za dusze poległych i dziękują Bogu za zwycięztwo. Żołnierze zmęczeni długą walką, śpią pod murami, basztami i na kurytarzach — gdzie tylko można. Jeden tylko Skaza nie zmrzążył oka wraz z swą waleczną gromadką. Zebrali się razem w koło ogniska i rozprawiają.

„Trzeba korzystać ze sposobności“ — mówił Skaza — „Szwedy popite, jak nieludzkie stworzenia. Wszystko leży pokosem, prawie nieżywe. Straży nawet nie widać. Jak im wpadniemy na karki, to zmieciemy jak trawę!“

„I ja tak myślę“ — ozwał się inny wieśniak — „kiedyśmy bili Moskali, to często robiliśmy im takie wizyty, a każda wypadła pomyślnie!“

„Pójdę więc oznajmić o tem przewielebnemu ojcu przeorowi“ — odrzekł Skaza — „będę go prosił o błogosławieństwo. Wy tymczasem opatrzcie broń. Weźmiemy tylko topory, szable i maczugi. To nam najzupełniej wystarczy!“

Po chwili Kazimierz był już z powrotem, przywiązał do boku ciężki pałasz, a skinąwszy na swoich, rzekł półgłosem:

„Tylko trzeba cicho podchodzić, najmniejszy szmer może nam zaszkodzić. Zdaje mi się, że w namiocie Millera błyszczy jakieś światelko!“

„E to księżyc odbija się na pozlacanej kuli“ — odrzekł jeden z wieśniaków — „bestya Miller ma cacka, co się patrzy.“

„Pójdą one w nasze ręce“ — rzekł Kazimierz — „kiedy będziemy na miejscu, kilku z nas niech zabiera co może, reszta niech bije, co sił starczy!“

„Dobrze, dobrze!“ — odpowiedzieli wieśniacy.

Wysuwali się przez bramę klasztorną jeden za drugim, a potem chyłkiem pobiegli od strony prawej, chowając się trochę w zaroślach, jakie z tej strony pokrywały znaczną przestrzeń ziemi. Koło samych namiotów dopiero podnieśli się równocześnie. Kazimierz przeżegnał się szkaplerzem i z okrzykiem: „Hurra bracia!“ począł tłuc po karkach nieprzyjaciela. Nastąpiła wyborna siekanina. Szwedzi popici nie zdołali się podnieść, a który próbował się prostować, wnet upadł jak długi, mruczając tylko jak niedźwiedź pod nosem:

„Sapperment, przekłeta godzina!“

Skaza nie wstrzymując się długo na jednem miejscu, kierował swe kroki naprzód namiotu Millerowego. Właśnie wielka chmura zakryła oblicze księżyca i stało się nagle tak ciemno, że prawie jeden drugiego nie widział; przytem gęsty śnieg począł padać jak z kosza.

Z nagłą napadnięci Szwedzi nie wiedzieli co się właściwie stało; dopiero kiedy łomot toporów i jęk mordowanych doleciał ich uszu, spostrzegli się, że to napaść jakaś. Każdy łapał za broń, ale ta mimowolnie wypadła z ręki, bo omdlałe palce nie były w stanie silnie rękojeści uchwycić. Tymczasem wieśniacy tłukli, aż miło i zabierali zrabowane bogactwa.

Już, już dochodzili do namiotu Millera, gdy nagle jeden z oddziałów szwedzkich, opamiętawszy się, rychlej niż inne nadbiegł z odsieczą. Włościan nie było dużo, więc nie mogli się narażać — wszyscy powoli wysunęli się z obozu i cichaczem, korzystając z ciemności nocnej, zbliżali się do klasztoru. Szwedzi tymczasem pewni, że mają przed sobą nieprzyjaciela, zabijali się nawzajem; dopiero brzask wschodzącego słońca powstrzymał niszczącą bijatykę i porachował ofiary.

Miller dowiedziawszy się o tej śmiałości klasztornych żołnierzy, omal nie oszalał z wściekłości. Chciał natychmiast pospieszyć pod mury i zemścić się za straszną klęskę, ale na usilne prośby generałów, aby się na teraz powstrzymać, pozostał w namiocie, odgrażając się przy każdej sposobności.

Wreszcie w dzień Bożego Narodzenia sprowadziwszy nowe armaty, przypuścił Miller ostatni szturm do klasztoru. Szturm ten atoli przyniósł mu tylko nowe zmartwienie i klęskę zupełną. W chwili, kiedy najwięcej się odgrażał i bluźnił, kula wymierzona ręką Kazimierza Skazy uderzyła go w ramię tak silnie, że natychmiast zalał się krwią i na długi czas stracił przytomność. Zwinięto więc co rychło namioty i w trwodze, ze wstydem opuszczono „nikczemny kurnik“,

klnąc na „przeklętych mnichów“ i na ich „nieczystą siłę.“

VI.

Od czasu zwyciężenia Szwedów pod Jasną Górą, jakby za dotknięciem laski czarnoksiężki, wszystko się w kraju zmieniło. Naród uważający w swym błędzie Szwedów za bicz Bozki, a więc za niezwycięzonych — teraz przejrzał jasno i przyszedł do przekonania, że jeszcze można zwyciężyć. Król ze łzami w oczach przyjął pocieszną wiadomość i z otuchą spojrzał w zamgloną przyszłość. Co Kordecki rozpoczął, prowadził dalej dzielny wódz i hetman Czarniecki. Był to mąż, jak mówią, i do tańca i do różańca; mężtwo z bojaźnią Pana, podały sobie w jego czystej duszy swe zbawcze dłonie. Czarniecki miał się stać zbawcą tonącej arki społeczeństwa polskiego. Po zawiązaniu w Tyśzowcach konfederacyi, Szwedom coraz gorzej się działo. Pojedyńcze, a coraz gęściej ukazujące się dobrowolne oddziały zbrojnych, raz za razem zmniejszały niszczący wpływ Karola Gustawa. Czarniecki dobrał sobie dzielną garstkę ludzi, do których przyłączyli się także wieśniacy z Kazimierzem Skazą i przebiegając kraj z jednego końca na drugi, nękał Szwe-

dów aż miło. Najwięcej ze wszystkich doka-
zywała garsteczka włościan pod drugorzędném
dowództwem młodego Skazy. Skaza w słodkiej
nadziei, że odbije swego ukochanego ojca, o
którym słyszał coś nie coś, że żyje, że wzięty
w niewolę i zagnany aż w stronę Danii —
w téj słodkiej nadziei bił się z nieprzyjacielem,
jak lew, gdy go ranią śmiertelnie. Zmiał
starszyznę, znosił znaczne pułki, odrywał
żywność i przeszkadzał w pochodzie. Czar-
niecki, patrząc na czyny młodego bohatera,
zacierał ręce i mówił: „Cor Mariae, dzielny
chłopak! Byle więcej takich!“

Jan Kazimierz słysząc o nowych zwy-
cięztwach na wieść, że Lwów oczyszczony
z nieprzyjaciół, udał się doń, przechodząc przez
Szlązk i Węgry. We Lwowie najpierwszym
czynem jego była modlitwa. Upadł przed
obrazem Maryi i cały naród Jój opiece porucił.
Odtąd prawie ciągle zwyciężano. Wprawdzie
bitwa pod Warszawą nie poszła zupełnie po
myśli, ale i Szwedzi wcale palmy nie osiągli —
siły ich słabły z każdą chwilą. Widział to
Karol Gustaw. Strach go wziął! Chcąc ra-
tować wypadającą mu z rąk, a tak dawno
wymarzoną koronę polską, wydał do włościan
okólnik, aby wszystkich panów, należących
bądź to do konfederacyi tyszowieckiej, bądź
działających na własną rękę, bądź wreszcie

wspomagających hetmana Czarnieckiego — żywcem albo zabitych zwozili generałom szwedzkim, za co otrzymają wysoką nagrodę. Włościanie jednak, chociaż nie rzadko doznawali przykrości od swych zwierzchników, przecież nie okazali się Kainami, ale owszem sami w jedną wielką złączeni armią, dopomagali bić Szweda psubrata. Szwed chylił się ku upadkowi; bitwy pod Warszawą, Trzemesznem, Lipnem, Prostkami itp. podbijały mu nogi, że ledwo się jeszcze jako tako trzymał. Ale na złość, kiedyśmy jednego nieprzyjaciela już dogniatali, zjawił się nagle drugi, daleko od poprzedzającego silniejszy, był nim Jerzy Rakoczy, książę Siedmiogrodzki. Podmówiony od króla szwedzkiego, który mu obiecał Ruś Czerwoną, Mazowsze i Małopolskę, zuchwały książę z olbrzymią, pięćdziesiątysięczną hordą dzikich Wołochów wpadł do Galicyi i zbliżał się do Krakowa. Niedługo jednak Bóg pozwolił mu hulać. Polacy zawarli z Danią przymierze, nie bardzo wprawdzie korzystne, ale zawsze przestrzegające Szweda; Lubomirski zaś, równie dzielny wojak jak Czarniecki wpadł z drugiej strony do kraju Rakoczego i okropnie go niszczył. Książę, dowiedziawszy się o grożącym mu niebezpieczeństwie, opuścił Galicyę dążąc na odsiecz; Szwed zaś skierował się ku Danii. Tak więc

— (!) —

nagle oswobodzono stolicę królewską. Rakoczy spotkawszy się z Lubomirskim pod Między-
borzem poniósł tak wielką klęskę, o jakiej
od dawna nie słyszeli Wołosi; do tego musiał
przeprosić króla i złożyć 1,200,000 talarów
na zapłacenie szkód. Ostatecznie szarpany
przez Tatarów, zaledwo w kilkaset koni po-
wrócił do Siedmiogrodu. Upadek Rakoczego
stał się także zapowiedzią upadku Szwedów.
Karol Gustaw stracił zupełnie nadzieję w zwy-
cięstwo, tém bardziej gdy Czarniecki z swą
waleczną garstką począł tłuc ich aż na ostatnich
kończynach Danii i wielu wypędzać do własnego
kraju. Nie długo więc myśląc, zawarł Gustaw
pokój z Janem Kazimierzem w Oliwie (1660 r.)
na mocy którego zrzekł się wprawdzie król
polski tytułu króla szwedzkiego, ale i Szwedzi
musieli również oddać wszystkie zabrane mia-
sta i twierdze i szkodę wyrządzoną wyna-
grodzić. Tak więc Polska modlitwą i wiarą
ludu, przy pomocy silnych ramion, męztwa
i miłości ojczystej podniosła się z swego upadku,
aby dać przykład wszystkim narodom, że zgoda
buduje trony, a niezgoda je niszczy.

VII.

W Krakowie na zamku ruch wielki;
dokoła słyhać wesole śpiewy, okrzyki, wiwaty,

połączone z poważném biciem prastarych dzwo-
nów i hukiem dział. W kościele król zasiadł
na tronie w całej pełni swego majestatu, by
kilku dzielnych i zasłużonych w wskrzeszeniu
Polski mężów podnieść do stanu rycerskiego.
Między nimi znajduje się Skaza, z prostego
chłopa zaliczony w poczet rycerzy za swą
niesłychaną odwagę i poświęcenie. Wszyscy
leżą pokosem u obrazu Maryi, a biskup od-
prawia pontyfikalne nabożeństwo. Ludu tłok
niesłychany. Każdy chciałby podziwiać wspa-
niałe postacie rycerzy. W tém król przystąpił
do dzieła i przyszli rycerze podnieśli się
z ziemi, aby przyjąć zaszczytną zbroję i symbo-
liczne uderzenie mieczem. Ozwały się na
chórze kotły i trąby, ozwały na zamku armaty.

Podczas tego zamieszania wszedł jakiś
stary pielgrzym czy podróżny. Kulejąc i pod-
pierając się grubym sękatym kijem, przedzierał
się z gorączkowym pośpiechem przez tłumy
ludu. Wszyscy spoglądali nań ze zdziwieniem,
a starcowi łzy błyszczały z za powiek, pierś
falowała mocno i usta drżały. Kiedy już
był w należytem oddaleniu, że mógł dokładnie
przyglądać się pasowaniu, przystanął i oczy
swe siwe, wielkie zwrócił w jedną stronę,
w stronę, gdzie stał Kazimierz Skaza. Właśnie
on teraz zbliżał się do stóp tronu królewskiego,
by otrzymać z rąk monarchy godność i ude-

rzenie pełne znaczenia. Poprzednicy jego wyliczali cnoty i zasługi swych przodków, wywodzili długi szereg znakomitych przodków, a Kazimierz Skaza przystąpił cicho, spokojnie ust nie otworzywszy — nie miał co mówić. Tedy w imieniu jego ozwał się nadworny kapelan, wyliczając wprawdzie nie zasługi tysiączne jego przodków, bo tych nie miał, nie znał i znać nie mógł, ale tysiączne bohaterskie czyny Kazimierza, kładąc wielki nacisk na osobiste zasługi młodzieńca, dla których do wysokiej podniesiony jest godności. Przemowa kapelana była rzewna, serdeczna. Wszyscy dokoła płakali, tylko jeden przybyły co dopiero pielgrzym jakby skamieniał. Głowę siwą, jak gołąb, pochylił naprzód i przysłuchiwał się, a kiedy król podniósł miecz w górę i lekko dotknął ramienia Skazy, pielgrzym wzniosł ręce do góry i na cały głos, aż zagrzmiało w kościele, krzyknął, łkając jak dziecko:

„Synu mój, synu!“

„Ojciec mój, ojciec!“ — zawołał Kazimierz i rzucił się z płaczem na szyję pielgrzyma, poznając w nim swego straconego rodzica. Obecni temu z rozrzewnieniem kiwali głowami, szeptając do siebie:

„To Bartłomiej Skaza!“

„A to syn jego, Kazimierz!“

Sam król nie pozostał na ten czuły obraz obojętnym, gruba łza spłynęła mu po licu, a błogosławiąc pozostających jeszcze w uścisku starca i młodzieńca, wyrzekł, obracając się do ludu:

„Oto najświętsza nagroda za wielkie czyny. Tak Bóg nagradza wierne Mu dzieci, którym nie brak miłości, meztwa i poświęcenia. Bierzcie sobie z nich przykład!“

Potém ruszyły z zamku bogate pojazdy, unoszące z sobą Bartłomieja i Kazimierza Skazę do oczekującego ich już wspaniałego zamku, a lud podnosił na ich cześć okrzyki i grmiące wiwaty, zachowując w sercach niewygasłą miłość dla tych, którzy życie swe narażając, ochronili naród od pewnej zaguby.

Cześć takim prostaczkom!

K O N I E C.



Pomsta Boża.

Nie urągaj nigdy człowiekowi, mianowicie jeśli nieszczęśliwy, nie śmiej się z łez i płaczu jego. Nie ciesz się z niczyjój krzywdy, a jeśli pomódz nie możesz — pożałuj, jeśli pożałować nie możesz — nie ciesz się przy-
najmniej z czyjój niedoli.

Otóż to są prawdy bardzo jasne i prawem chrześcijańskiem nakazane, ale często źli ludzie wbrew tym prawdom działają, Bóg jednak nigdy nie puści tego bezkarnie.

Niniejszy przykład pomsty Bożej niech tego będzie nauką. Kiedy naród polski upadł i ostatni król polski Stanisław August złożył królewską koronę, a polski kraj rozebrali trzej sąsiedzi, wtedy zabrano z Warszawy, polskiej stolicy, wszystkie skarby królewskie, klejnoty i oznaki królewskiego majestatu.

Miedzy innemi zabrano też do Petersburga tron polski, owe krzesło, na którym tyle wieków polscy królowie siadali, od Piastów i Jagielonów aż do ostatniego króla, otoczeni senatem polskich panów i biskupów.

W Petersburgu panowała wtedy carowa Katarzyna, wielka bezbożnica, której się zdawało, że można nieszczęściu cudzemu bezkarnie urągać. Kazała więc z tronu polskiego zrobić sobie przyrząd, który zawsze na osobności stoi, a którego tu nazwać dokładniej nie wypada.

Mówiła sobie grzesznica: niech widzą Polacy jak upadli i czém są w obec nas Moskali, kiedy ich tronu używa carowa moskiewska do takiej potrzeby.

Urągowisko na jakie nigdy jeszcze nikt w świecie się nie odważył!! a spotkało ono naród nieszczęśliwy, ale godny pożałowania.

Nie uszło to jednak bezkarnie i Pan Bóg widocznie chciał pokazać, że nieszczęśliwego narodu jeszcze nie opuścił zupełnie. Carowa udała się pewnego dnia do swojego pokoiku, gdzie stał znieważony tron polski, usiadła, ale już więcej nie wstała i tam ją też znaleziono nieżywą. Śmierć miała szkaradną.

Jest w dziejach ludzkości sprawiedliwość! Pan Bóg mści się za krzywdy nieszczęśliwych, a nad urągowiska w nieszczęściu nie masz krzywdy większej.

Wiosna.

Już stopniały twarde lody,
Znikły śniegi w falach rzeki,
A szumiące groźnie wody,
Gdzieś pobiegły w świat daleki...

Dzisiaj cisza taka święta,
A w naturze czaru tyle,
Bo też wiosna uśmiechnięta,
Znów osłodzi życia chwile.

Wiosna! wiosna! huczą głosy,
Dziękczynienia płyną pieśni,
Strójne w błękit są niebiosy,
I ptaszkiwie nucą leśni.

Wszystko wraca znów do życia,
I zielono już w dolinie,
Kwiatki budzą się z ukrycia,
Strumyk szemrząc cicho płynie.

Tak odetchnąć piersią błogo,
Miło cieszyć się tej wiosnie,
Ale tym co tylko mogą,
Dziś uśmiechać się radośnie.

O, nie dla nas te zielenie,
Obce cieszą się narody,
My do Pana ślijmy pienie,
By nam wiosnę dał swobody!

Tomiki w okładce

z przepysznym kolorowanym obrazkiem.

Tom

200. Śnieżny grób w Sierra, czyli zagłódzenie w srebrnej minie.
201. Porwane dziecko. Opowiadanie z Turcyi.
202. Kama Samojedka. Opowiadanie historyczne.
203. Jeniec Szykitów. Powieść z życia indyańskiego.
204. Mareipotama, córka Pampasów. Opowiadanie z kraju Indyan.
205. Wielkie skarby złota w Sierra Newada.
206. Na granicy kraju Indyan, czyli bezpieczna ręka. Powieść Meksykańska.
207. Koloniści u źródeł rzeki Susquehannah.
208. Harold król cyganów, czyli skrzypce Edelen-skie. Opowiadanie z Węgier.
209. Skalpierze Południowej Ameryki, czyli na wyspach rzeki Uruguay. Opowiadanie z kraju Indyan.
210. Bogufał młody pastelnik.
211. Dobromil, czyli cudowne są drogi Pańskie.
212. Pomiedzy ludożercami w Sumatrze.
213. Dziwne podróże na lądzie i na morzu.

Tomiki po 6 i 12 ct. czyli 10 i 20 fenigów.

305. Ksiądz Placydy. 12 ct.
306. Krzyż drewniany. 12 ct.
307. Pielgrzymka przez Ziemię św. (8 obraz.) 12 ct.
308. Ahaswerus, żyd wieczny. 12 ct.
309. Korsarz czyli upiór morski. 6 ct.
310. Na krach czyli rybak odważny. 6 ct.
311. Podrzutek albo nagroda wierności. 6 ct.
312. Anioł pokoju. 6 ct.

„Książeczki Ludowe“

w okładkach z przepysznymi kolorowanymi rycinami.

500. Dokładna rozmowa kwiatami, poświęcona mi-
łości i przyjaźni. Cena 20 ct. czyli 35 fenigów.

Tom

501. **Niezapominajki.** Wybór najlepszych wierszy do Imionnika. Cena 20 ct. czyli 35 fenigów.
502. **Zbiór dobranych powinszowań wierszem i prozą** dla dzieci i dorosłych, na wszelkie przygody i sposobności życia ułożone. Cena 35 ct. czyli 60 fenigów.
503. **Książeczka o dobrych zwyczajach towarzyskich.** Cena 40 ct. czyli 70 fenigów.
504. **Zwyczajna kuchnia domowa,** obejmująca przepisy potraw kucharskich. Cena 40 ct. czyli 70 fenigów.
505. **Najnowszy i najdokładniejszy Sekretarz zakonanych i narzeczonych.** Z dodatkiem: Pieśni miłosne, wiersze do imionnika itd. Cena 60 ct. czyli 1 markę.
506. **Czarnoksiężnik Bosko,** czyli najbogatszy zbiór najciekawszych sztuk magicznych i kuglarskich do wykonywania łatwo i tanim kosztem. Z ilustrac. Cena 20 ct. czyli 35 fen.
507. **Toast polski wierszem i prozą,** czyli zbiór mów przy uroczystościach wszelkiego rodzaju, jako to: przy weselach, ważniejszych zebraniach, przy obchodach jubileuszowych itd. Cena 60 ct. czyli 1 mrk., w eleganckiej oprawie, w płótnie połączanym 1 złr. 10 ct. czyli 1 mk. 80 fen.
- 508 i 509. **Polski śpiewnik,** czyli zbiór 486 nowych arii i dumek narodowych, krakowiaków, kujawiaków, pieśni weselnych, miłosnych, patryotycznych, historycznych itd. 2 tomy. Cena każdego tomu oprawn. 50 ct. czyli 90 fen., w eleg. oprawie w płótnie połączanym 85 ct. czyli 1,50 mk.

„Śmiech.“ Zebrał Nie-głupi.

W trzech częściach :

510. **Część I. Zbiór fraszek, anegdot i humorystycznych opowiadań.** Cena oprawn. 60 ct. czyli 1 mk.
511. **Część II. Anegdoty historyczne i z życia znakomitych ludzi.** Cena oprawn. 60 centów czyli 1 mk.
512. **Część III. Anegdoty, fraszki, zdania, myśli moralne i opowiadania celniejszych humorystów polskich i obcych.** Cena oprawn. 60 ct. czyli 1 markę.

Książki obrazkowe, zajęcia dla dzieci i dorosłych.

- ABCadnik i pokoik** mały z 4 tabl. obrazk. i 8 stron tekstu m. 8°. 8 ct. : 15 fen.
- ABCadnik nowy** z obrazk. i wiersz. m. 8°. 12 ct. : 20 fen.
- Ach! co za prześliczna książeczka** obrazkowa z wierszykami i tekstem m. 8°. 18 ct. : 30 fen.
- Bajek 10,** każda ozdobiona 6 wspaniałymi obrazkami i tekst. 4° każda po 60 ct. : 1 mk.
1. Mądry kot. 2. Kópciuszek. 3. Białośnieżka. 4. Głupi Janek. 5. Śpiąca królewna. 6. Czerwona czapeczka. 7. Tomcio paluch. 8. Chytry lis. 9. O Janku i Małgosi. 10. Przygody zwierząt.

- Baśń o karzełkach i pięknym lutniście, z 6 obrazkami i tekstem w. 4°. 60 ct. : 1 mk.
- Brr! Znów inny obrazek. Piękna obrazk. książka ze zmieniającymi się obrazk. i tekst. m. 4°. 85 ct. : 1,50 mk.
- Dla grzecznych dzieci. Książeczka obrazk. z wierszyk. i tekst. m. 8°. 16 ct. : 28 fen.
- Elementarz z obrazk. i tekst. m. 8°. 24 ct. : 40 fen.
- Fryc, chytry lis. Bajka z 6 obrazkami i tekst. w. 4°. 45 ct. : 75 fen.
- Książeczek 7, różnych, z bajkami, każda z 6 obrazk. i tekstem, m. 8°. 8 ct. : 15 fen.
- Książeczka czarodziejska z wspan. obrazk. ludzającymi i tekst. I. i II. w. 4°. opr. każda 75 ct. : 1 m. 25 f.
- Książeczki powiastkowe, 12, z obrazk., każda z 6 obrazk. w kolor. druku 32° każda po 4 ct. : 8 fen.
1. Matka i syn. 2. Lekkomysłni przyjaciele. 3. Ciekawość ukara-
na. 4. Robert i Ita. 5. Biedna rodzina. 6. Dzieci wśród lasu. 7. Dwaj
sąsiedzi. 8. Nie wódz nas na pokuszenie. 9. Biedny Krzysztofek. 10.
Burza na morzu. 11. Bózka opatrność. 12. Iwan Niedolega.
- Książek 6, nowych, z obrazk., każda składająca się z 6
przepysznych obrazków, z wierszykami, w. 4°.
oprawna każda 65 ct. : 1 mk. 25 fen.
1. Złote czasy. 2. Wiosna. 3. W górach i dolinach. 4. Do-
brzy przyjaciele. 5. Świat dzieci. 6. Nasi domownicy.
- Obrazki dla grzecznych i miłych dzieci, z 6 pięknymi
obrazk. z tekst. w. 4°. 85 ct. : 1 m. 50 f.
- Przygody zwierząt, z 6 obrazk. i tekst. w. 4°. 45 ct. : 75 f.
- Radość dziecięca w obrazk. z wierszyk. m. 8°. 14 ct. : 25 f.
- Rozrywki dla grzecznych i miłych dzieci. z 6 piękn.
obrazk. i tekst. w. 4°. 85 ct. : 1 mk. 25 fen.
- Świat baśni. Wielka wspaniała książka z 6 bajkami i 36
bardzo piękn. obrazk. 24 str. tekstu, w. 4°. w gu-
stow. trwałe opr. 2 złr. 80 ct. : 4 mk. 50 fen.
- Wydanie z 12 obrazk. i 24 str. tekstu, w. 4°. w gu-
stowej trwałe oprawie 1 złr. 80 ct. : 3,50 mk.
- Świątek dziecięcy w obrazach i z tekst., sztywne karty
m. 8°. siln. opr. 15 ct. : 25 fen.
- Towarzysze zabawy, z 12 obrazk. i 44 str. tekst. 8°. opr.
85 ct. : 1 mk. 50 fen.
- Uciecha małych dzieci w obrazkach bez tekst. m. 8°. 15 ct. : 25 fen.
- Uciecha wielka dla małych dzieci 4°. W 3 wyd.:
1) z 8 tabl. obrazk. i wierszyk. 36 ct. : 60 fen.;
2) z 16 tabl. obrazk. i wierszyk. opr. 60 ct. :
1 mk.; 3) z 16 tablic. obrazk. i wierszyk. (książka
do niedorozdarcia) opr. 90 ct. : 1 mk. 50 fen.

W eyrku, z 6 tabl. obrazk. bez tekstu w. 4°. 60 ct. : 1 mk.
Zabawa w obrazach bez tekstu m. 8°. 10 ct. : 20 fen.
Zwierzęta różne z tekst. m. 8°. 15 ct. : 25 fen.
Zwierzyniec dla grzecznych dzieci z tablic. obrazkami
z wierszykami 4°. 50 ct. : 90 fen.
Z życia dzieci, 6 tablic. obrazk. wiersz. w. 4°. 60 ct. : 1 m.
Książka z obrazk. niedorozdarcia o 12 str., z obraz. i wierszyk., na kartonie naklejone. w. 4°. 2 złr. : 3,50 mk.

Artysta mały. 48 wzorów rysunkowych dla dzieci w.
8°. w gustown. okł. 65 ct. : 1 mk.
Loteryjka domowa, z 12 tabl., 90 kul numerow. i szkłem
krajanem w gustown. pudełku 85 ct. : 1 mk. 50 fen.
— — Wydanie elegancko-salonowe. 1,50 złr. : 2,50 m.
Siedm rozmaitych gier, dzieciennych i towarzyskich, w eleg.
ganckiej okładce 75 ct. : 1 mk. 40 fen.
Młotek i dzwonek. Gra nadzwyczaj zajmująca w eleg.
pudełku drewn. z kostkami i objaśnieniem; stósow-
nie do wykończenia w 3 różnych wydaniach po
35 ct. : 60 f., 45 ct. : 75 fen., 65 ct. : 1 mk.
Szkoła malarstwa mała. Książk. z kolor. i czarn. obr.
Kolor. jako wzór, czarne jako tło do malow. 4 num.:
1) Nm. 123 m. 8°. 6 ct. : 10 fen., 2) Nm. 322 m.
8°. 8 ct. : 15 fen., 3) Nm. 550 4°. 16 ct. : 28 fen.,
4) Nm. 552. w. 4°. 42 ct. : 70 fen.
Tabliczka łupkowa pierwsza. Książeczka z papieru łup-
kow. z wzorami do rysow., m. 8°. 40 ct. : 70 fen.
— — Z większą liczbą tablic i gustowniejsze wyda-
nie. m. 4°. 60 ct. : 1 mk.
Wzory do rysowania. Nowe, na tabliczce. Zawieraj.
6 tablic z rysunk. na obu stron. w. 4°. 75 ct. : 1,25 m.
Zbiór nowych 6 gier dzieciennych i towarzyskich, m. fol.
w eleg. okładce 75 ct. : 1 mk. 25 fen.
— — Tylko gry pojedyncze naklejone na tekturze.
1 złr. 15 ct. : 2 mk.

Najnowsza i nader zajmująca gra towarzyska
dla dzieci dorosłych p. n.:

„Wojna europejska“

między Austryą, Francją, Niemcami i Rosyą.

Cena sztuki w eleganckiem pudełku 1 złr. 38 ct.
czyli 2 marki 25 fenigów.

**Siedm zupełnie nowych, pięknych i dobrych
książek z obrazkami:**

1. Książeczka z obrazkami dla grzecznych dzie-
tek, obejmuje 16 stronic
obrazków kolorowych z wierszykami i powiastkami, oraz naukę
polskiego pisania i czytania. Cena 20 ct. : 30 fenigów.

2. Zabawa w obrazkach dla grzecznych dzieci,
tej samej objętości co pier-
wsza, lecz z innymi obrazkami i wierszykami, także z nauką pol-
skiego pisania i czytania. Cena 20 ct. : 30 fenigów.

3. Świat dziecięcy w obrazkach i powiastkach, z
powiastkami, wierszykami i zagad-
kami, wraz z krótką nauką polskiego pisania i czytania w formie
wielkim (4-to), obejmuje 8 stronic kolorowych obrazków, 16 stro-
nic tekstu z ślicznie wykonaną okładką kolorową. Cena oprawnego
egzemplarza 78 ct. : 1 mk. 25 fen.

4. Nauka w obrazkach format wielki (4^o) 8
str. obrazków kolorowych,
16 stronic powiastek itd., wraz z nauką polskiego pisania i czytania
z ślicznie wykonaną okładką kolorową. Cena oprawnego egzempla-
rza 78 ct. : 1 mk. 25 fenigów.

5. Słuchaj rodziców i starszych, książeczka
z obrazkami
o niegrzecznych dzieciach, obejmuje 16 stronic obrazków ko-
lorowych i do nich stosujących się powiastek i przykładów, z dodat-
kiem elementarza, 16 str. powiastek, z ślicznie wykon. okładką ko-
lorow. — format 4-to. Cena opr. egzempl. 65 ct. : 1 mk.

6. Skarbiec zabaw i uciech powiastki i wier-
szyki dla grze-
cznych dzieci, obejmuje na 20 str. 50 obrazk. kolor. z stosownymi
wierszami, w dodatku elementarz i 16 str. powiastek i baśni z śliczną
okładką kolor. — format (4-to). Cena opr. egz. 1 złr. = 1 mk. 50 fen.

7. Pocziwy Antos, książka dla dzieci, które chcą
być grzecznymi, obejmuje 48
stronic druku i 24 obrazków — w formie małym oprawa trwała
— grzbiet płócienny. Cena 20 ct. : 30 fenigów.

Kto prześle 3 złr. 60 ct. lub 6 mk. otrzyma wszystkie 7 książeczek
franko. — Należytość można i w znaczkach pocztowych przesłać.

Odezwa do rodziców i przyjaciół dzieci.

Zamieszczony spis świeżo wyszłych dziełek jest nowym dowo-
dem, że staraniem mojem jest szerzenie oświaty, a z nią moralności.
Książeczki te są przeznaczone dla dzieci, zaopatrzone w obrazki
i liczne powiastki, zdania moralne, zagadki i śpiewki. Aby dzieci
mogły sobie przeczytać treść tych książeczek, dodany jest do każdej
książki mały, bardzo praktyczny elementarzyk polskiego pisania
i czytania. Mam nadzieję, że tym mojem wydawnictwem przysłużę
się rodzicom i przyjaciołom dzieci. Elementarzyk bowiem wystarczy
do nauczania się czytania i pisania w polskim języku.

Szanownej Publiczności polecam więc moje dziełka i dla ta-
twiejszego nabycia stawiam nader niską cenę. Podjąłem się zań te-
go wydawnictwa, ponieważ książeczki takie są nader pożyteczne, a
w polskim języku brak ich jest wielki.

Nakładca Edward Feitzinger w Cieszynie (Śląsk austr.)

Spis książek nakładowych i komisowych, księgarni Edwarda Feitzingera w Cieszynie (wyższa brama.)

I. Różne dzieła.

- Chociszewski Józef**, Podręcznik do pisania listów, w którym wyłożona jasno i treściwie nauka o pisaniu listów, oraz podane liczne wzory tychże, jako też kwity, rewersy, rachunki, przepisy pocztowe, wpisy do imionników itd., z dodatkiem listownika dla dzieci. 1888. (194 str.) 8°. 65 ct. : 1 M.
w opr. płóc. 1 złr. : 1 mk. 75 fen.
- **Pokłosie**. Zbiór pouczających i ciekawych opowiadań, powieści, wierszy itd. jak np.: Lampa czarodziejska; wspomnienie o Krakusie, Wandzie i Piaście; zyciorys Dezyderego Chłapowskiego itd. Z 12 obrazk. 1888. (215 str.) 24°. 35 ct. : 50 fen.
- **Przepowiadacz pogody i niepogody**. 1885. (32 str.) 24°. 12 ct. : 20 fen.
- **Skarbeczyk poezyi polskiej**. 1883. (256 str.) 24°. 48 ct. : 75 fen.
- **Śpiący biały orzeł**, czyli proroctwo starego pustelnika z gór karpackich. Dodane inne ważne proroctwa o naszej kochanej Ojczyźnie Polsce a mianowicie trzy przepowiednie Ojca świętego. 1889. (54 str.) 8°. 20 ct. : 35 fen.
- Cinciała, Dr. Andrzej**. Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna. 1885. (133 strony.) duż 8°. 2 złr. 50 ct. : 4 mk. 50 fen.
- **Podręcznik dla gmin śląskich**. Tom I. 1889. (327 stron.) 8°. 2 złr. 50 ct. : 4 mk. 50 fen.
- **Przysłowia, przypowieści i ciekawsze zwroty języka ludu polskiego na Śląsku w Księstwie Cieszyńskim**. 1885. (48 str.) 8°. 40 ct. : 70 fen.
- Hejromancya egipska**, czyli sztuka przepowiadania z linii na ręce. Zupełnie pewna wskazówka do odgadnięcia przyszłości. 1886. (18 str.) m. 8°. 20 ct. : 35 fen.
- Hermana Fr.** Ogólna dedaktyka i pedagogika, przewodnik do skutecznego sprawowania urzędu nauczycielskiego przy szkołach ludowych wszelkiej ka-

tegorii, opracowany, uzupełniony i licznymi scho-
liami ozdobiony przez Izzydora Poechego, kiero-
wnika szkoły w Dąbrowie. — Doskonałość orygi-
nału uznana jest przez Nauczycielstwo od wielu lat,
a opracowanie w ojczystym języku umiejętne i su-
miennie dokonane. 1882. (200 stron.) 8°.

1 złr. 38 ct. : 2 mk. 40 fen.

Historia o cudownej odmianie księżnej i szewcowej. 1886.
(8 str.) m. 8°.

6 ct. : 10 fen.

**Janicki X. Cudowne nawrócenie dwóch wielkich pija-
ków.** 1885. (16 str.) 24°.

10 ct. : 15 fen.

**Kabała moralna, czyli mądrość Salomona. Tajemnice
przyszłości.** 1886. (16 str.) m. 8°.

10 ct. : 15 fen.

**Kancyonał mniejszy, wydany przez ks. Jana Żmijkę.
Wyd. VIII. stereotypowe.** 1888. (560 str.) 8°.

opr. 1,50 złr. : 2,75 mk. do 4,50 złr. : 8 mk.

**Kancyonał wielki śp. ks. Ant. Janusza. Nowe wyd. V.
pomnoż. i poprawne.** 1890. (1256 stron.) 8°.

opr. od 2,50 złr. : 4,50 mk. do 5 złr. : 8,50 mk.

**Dodatek do tegoż, obejmujący różne nowe pieśni.
1877. (16 str.) 8°.**

5 ct. : 10 fen.

**Kancyonałek, czyli śpiewnik kościelny i książka do mo-
dlenia dla młodzieży. Wyd. II.** 1888. (383 str.) 24°.

opr. od 65 ct. : 1 mk. do 1 złr. 50 ct. : 2 m. 75 f.

Michejda ks. K. O pijaństwie

10 ct. : 20 fen.

Nabożeństwo do św. Alojzego. 1880. (48 str.) 8°.

15 ct. : 25 fen.

Proroctwo Michaldy królowej ze Saby. 13 Sybilij. 1888.
(48 str.) 8°.

20 ct. : 35 fen.

**Radońska Teresa. Dwie powiastki. (1. Szpilka
Miss Nelly. Nowella. 2. Powieść o minionem
szczęściu.)** 1881. (106 str.) 8°.

45 ct. : 75 fen.

Rozmowa trzynastu mężatek i jednej wdowy. 1887.
(8 str.) 8°.

6 ct. : 10 fen.

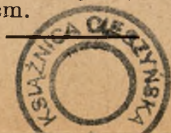
**Sennik egipski, prawdziwy i stotny. Podług egip-
skich i arabskich zaświadczeń oraz liczb na lote-
ryą stawiać się mających z dołączeniem o własno-
ściach planet i grze loteryjnej. Z obrazkami.** 1887.
(144 str.) m. 8°.

30 ct. : 50 fen.

**Sila sympaty, czyli wpływu duchowego na organizm
ludzki i zwierzęcy, jako środek w rozmaitych cho-
robach i przypadkach bardzo skuteczny. Z do-
datkiem fizyognomicznych reguł i wskazówek po-
dług których szybko charaktery, temperamenta**

- zdolności i uczucia ludzi poznać można. 1889.
(60 str.) w. 8°. 40 ct. : 75 fen.
- Śliwka Jan. Książka do czytania i pouczenia się, dla
każdego. Wyd. II. znacznie poinnowzone. 1880.
(356 str.) 8°. opr. 90 ct. : 1 mk. 60 fen.
- Starosta weselny, czyli zbiór mów używanych przy
weselach u ludu polskiego na Ślązku austriackim.
Z obrazkiem: Wesele wiejskie. 1887. (48 str.) 8°. 25 ct. : 50 fen.
- Stolz, ks. Alban. Lekarstwo przeciw obawie śmierci.
Kalendarz na czas i wieczność, wydany po niemiecku
po raz pierwszy w roku 1843, przetłumaczył
z 18 wydania Adolf Stiasny. 1882. (150 str.) 8°. 35 ct. : 60 fen.
- Ojciec nasz. Kalendarz na czas i wieczność. Wyda-
ny po niemiecku po raz pierwszy: część I. w roku
1845, część II. w roku 1846, część III. w r. 1847.
Przetłumaczył z 15 wydania Adolf Stiasny. Dla
ludu pospolitego, jako też dla innych świeckich
i duchownych osób. 3 tomy. 1884—1887. (420
stron.) 8°. 1 złr. 5 ct. : 1 mk. 80 fen., oprawny
1 złr. 35 ct. : 2 mk. 30 fen.
- Sypowski, ks. Kazimierz. Kazania w podobień-
stwach i przykładach na niedziele i święta uro-
czyste. 2 tomy. 1879. (420 str.) d. 8°. 4 złr. : 7 mk.
- Szebesta, ks. Walenty, prob. w Wielk. Górkach.
Tarcza wiary katolickiej, gasi ogniste strzały »Tarczy
wiary ewangelickiej«, napisanej przez pastora Jana
Pindóra w Cieszynie. Cena zniżona. 36 ct. : 70 fen.
- Szybkorachmistrz, czyli przewodnik rachunkowy. Nie-
zbędnie przy kupnie i sprzedaży potrzebny, obliczo-
ny od 1 do 100 sztuk, od $\frac{1}{2}$ aż do 99 ct., groszy
lub fenigów. Z dodatkiem zawierającym tabele za-
miany nowych miar i wag na stare i odwrotnie, ja-
ko też zamiany monet i licznych innych pożytecz-
nych tabel. 1880. (160 str.) form. kieszonkowy. 50 ct. : 85 fen.
- Wilkońska, Paulina z L. Cyganki. Komedyjka
w jednym akcie. 1884. (20 str.) 24°. 12 ct. : 20 f.
- Dwa śluby. Powieść. Z dodatkiem powiastki „Pró-
żność ukarana.“ 1879. (82 str.) 8°. 65 ct. : 1 mk.
- Prima Aprilis. Komedya w 1 akcie. 1879. (28 str.)
8°. 38 ct. : 60 fen.
- Wróżbiarz z kart najdokładniejszy, czyli sztuka

- sobie i innym kabałę układać, jako też sobie i każdemu innemu przyszłość przepowiadać. Zestawiony z pozostałych rękopisów najslawniejszych wrózek i wróżbiarek. Z 36 subtelnemi kartami do ciągnięcia z dokładnym opisem. 75 ct. : 1 m. 30 f.
- Wyrok na śmierć.** Powieść dla katolików. 1887. (16 str.) 8°. 6 ct. : 10 fen.
- Żydowska wojna.** Co żydzi narobili strachu całemu światu. 1887. (8 str.) 8°. 6 ct. : 10 fen.
- Żyd wieczny tułacz z Jeruzalem,** imieniem Ahaswerus. 1887. (16 str.) 8°. 7 ct. : 10 fen.
- Podręcznik prawniczy.** Książka dla ludu, zawierająca: przykłady prośb, podań i skarg w sprawach nie-spornych, spornych i karnych; dalej wzory dokumentów prawnych, świadectw, rewersów, kwitów, poświadczeń, deklaracyi, testamentów, pełnomocnictw, kontraktów, zapisów dłużnych, ugód, cesyi itp. z odpowiedniami objaśnieniami; nareszcie dodatki obejmujący: listy, spis wiosek w księstwie Cieszyńskim według powiatów sądowych i starostw, słowniczek wyrazów prawniczych i administracyjnych. 1883. (304 str.) 8°. opr. 2,60 zł. : 4,50 m.
- Kalendarze:** Kalendarz katolicki 20 ct. : 35 fen.
- Kalendarz polski,** powszechny rzymsko- i grecko katolicki, ewangelicki i żydowski, astronomiczny, gospodarski i domowy. 20 ct. : 35 fen.
- Kalendarz Maryański,** z wieloma ilustracyami ozdob., format duży 4°. 40 ct.
- Kalendarz do odtargiwania (Block)** 60 ct. : 1 mk.
- Kalendarz podkładowy, patentowy,** składający się z 26 kart silnej, wybornej bibuły. Format 36/50 cm. 1 złr. 50 ct. : 2 mk. 60 fen.
- Podziały godzin dla szkół,** w 3 wydaniach: 10 sztuk 6 ct. : 10 fen., 20 ct. : 35 fen., z rysunkami patryotycznymi, 35 ct. 60 fen.
- Schindler, ks. Ae.,** członek towarzystwa przyjaciół muzyki kościelnej. **Chorał,** zawierający harmonijnie ułożone melodye do śpiewów znajdujących się w kancyonalach ś. p. ks. Ant. Janusza (polski), Lehnerta i Onderka (czeskie), tudzież responzorya i przeszło sto przygrywek na organach. 1890. 416 str. w. 4°. Tom I i II 7,50 złr. : 15 mk., tom III 3 złr. : 6 m.
- Świadectwo nauki dla przemysłu,** artystycznie litografowane 42 : 53 cm. 30 ct. : 50 fen.



6. **Mistrz Twardowski.** Bardzo ciekawa, zajmująca i wesoła historia o sławnym polskim czarnoksiężniku. Spisana wiernie podług podań ludowych i starych zabytków piśmiennych.
7. **Książę Aleksander Menżykow, albo przygody pasztecjarza.** Zajmująca i pouczająca powieść dla młodych i starych.
8. **Aleksander książę bułgarski, bohater i obrońca wolności.** Dokładna historia jego życia i działalności; z dodatkiem wiernego obrazu Bułgarii i Bułgarów.
9. **Doktor Jan Faust, słynny czarnoksiężnik i humorysta.** Jego życie, sprawy i wędrówka do piekła.
10. **Turecy pod Wiedniem.** Opowiadanie historyczne z czasów oblężenia Wiednia przez Turków w r. 1683.
11. **Piękna Magelona i hrabia Piotr z Prowansyi** z srebrnymi kluczami.
12. **Historia o siedmiu mędracach.** Bardzo zajmująca i powabna powieść dla młodych i starych.
13. **Robert Djabel.** Nie tylko straszna, ale także zabawiająca i pouczająca powiastka z przeszłości. Podług starych dokumentów na nowo przerobiona i wydana.
14. **Wilhelm Tell i jego sprzymierzeńcy, albo: Oswobodzenie Szwajcarii.** Opowiadanie z średnich wieków.
15. **Dziewica Orleańska.** Opowieść historyczna z zamierzonych dziejów Francyi.
16. **Książę Eugeniusz prawy rycerz.** Opowieść historyczna.
17. **Młyn djabelski na Górze Wiedeńskiej, czyli rycerz Ginter z Szwarcenau.** Ciekawa powieść dla młodych i starych.
18. **Echo z Afryki.** Pamiętnik wędrowca. Napisał Aleksander Borucki.
19. **Szkice z życia zwierzęcego.** Skreślił dla młodzieży i ludu Aleksander Borucki.
20. **Bliźnięta.** Historia wyjęta z życia ludowego.
21. **Dwie nowe powiastki dla dzieci.** Przełożone z niemieckiego. 1. Wolny strzelec. 2. Białe widmo na zamku Avenel.
- 22 i 33. **Józef Ignacy Kraszewski.** Jego życie i zasługi (z ryciną.) Skreślił Aleksander Borucki.

Ten tomik podwójny o 144 stronach, jest na pięknym papierze drukowany i opatrzonej dobrze udatnym portretem Kraszewskiego. Cena 40 ct. = 70 fen.

- 4 i 35. **Nasze góry.** Malownicze opisanie Karpat i Tatr, oraz ich mieszkańców. Skreślił Aleksander Borucki. Tom 34. Karpaty. Tom 35. Tatry.

B

raszek słynny dowódzca zbójców w     -
Beskidzie. Opowiadanie prawdziwe z zesz  ego wieku,
ow. pod  ug najlepszych   r  de   historycznych. Z obraz-
Cena 25 ct. czyli 50 fenig  w.

duch Lumpacyusz Vagabundus czyli tr  j-
altajska. Bajka wielce pouczaj  ca.

a za grzechy. Opowiadanie osnute na
prawdziwem.

ak, duch i kr  l czarnych wysp. Bajka.
wiec czarnoksi  znik. Ciekawe opowiadanie.
h g  r i jego s  iostry. Powiastka dla dzie-
  szszych *   w.

rya o niewycie  zonym rycerzu Sygfrydzie.
we i zajmuj  ce opowiadanie z przesz  o  ci.

mniechy duch, obrazek z po  udniowej Afryki.
hold, cudowne dziecie. Ciekawa bajka.

delin z Hoellensteinu, czyli dzwon uma-
o p   nocy. Bajka.

n. Ciekawa bajka. Z niemieck. W. Hauffa.

R     z Tanenburga, czyli zwycie  stwo
  c  j mi  o  ci. Powie  c bardzo zajmuj  ca i rzevna, dla
  ie  y i ludu. Z niemieckiego ks. Krzysztofa Schmida
czona. Cena 45 ct. czyli 80 fenig  w.

Cesarz Oktawian. Bardzo ciekawa i zajmu-
powie  c z wiek  w   rednich. Opr. Cena 45 ct. czyli 80 fen.

. Fortunat i jego synowie. Ciekawe
nuj  ce opowiadanie ich przyg  d i   ycia. Oprawny.
60 ct. czyli 1 mark  .

mierz Skaza. Powiastka osnuta na tle
ycznem. Napisa   Aleksander Borucki.

ciekawe opowiadania czarodziejskie dla
ch i starych. (1. Zak   ta ksi    niczka. 2. Czer  ej mu-
ci z g  r Karkonoszy. 3. Ksi    czka czarodziejska.)

zarowana sroka. Oryginalna i ciekawa
stka dla m  lodzie  y.

ciwy Anto  . Ksi    zka dla dzieci, kt  re
by  c grzecznymi. Z 24 rycinami. Oprawn. Cena 20 ct.
e pi  kne historye o ksi  ciu Bruncwiku
lfrydzie.

y Frydolin i niegodziwy Dytrych.

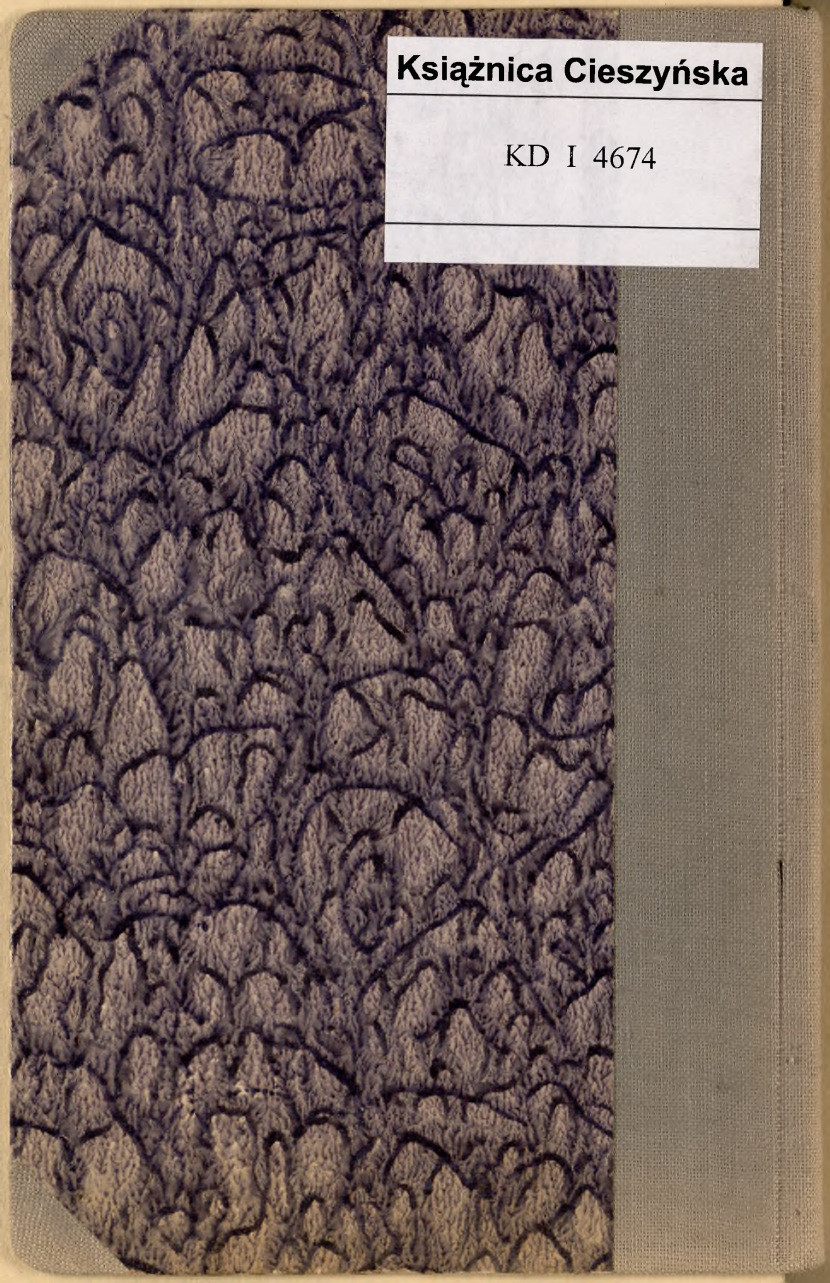
inia Beatusa, czyli lepiej krzywd   cier-
i  z krzywd   wyr    dza  c.

omnienia z podr    y do Londynu. Skre  li  
Pind  r.

80







Książnica Cieszyńska

KD I 4674